ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK IX. NIEDZIELA, 15 maja 1955 r. Nr. 20 (412)

Punkty widzenia

„Dobro ogólnoludzkie"

Zadaniem publicystyki jest nie tyle przedstawianie problemów, co wskazywanie dróg ich rozwiązania. Publicysta powinien w oparciu o swoją wiedzę umieć przewidywać wypadki. To „przewidywanie" nie jest, oczywiście, żadną siłą tajemną i nie może być wieszczbiarstwem, które zjawia się w publicystyce zawsze wówczas, kiedy wiedzę zastępują takie czy inne uczucia.

Kult publicystów i polityków posiada, zwłaszcza wśród Polaków, odcień zabobonu. Od publicysty wymaga się wróżb. Publicysta, który się myli, uchodzi za szarlatana, w cenie natomiast jest taki, który trafia i zgaduje. Toteż publicystyka często przypomina grę w karty, gdzie waży nie wiedza i przygotowanie, ale szczęściarstwo, węch i ślepy przypadek.

Doświadczony publicysta, znający gusty społeczne, obiera zwykle metodę publicystyki — pytyjskiej, enigmatycznej, zagmatwanej. Język ludowy określa taki rodzaj pięknym przysłowiem: „na dwoje babka wróżyła".

W każdym razie, od publicysty i polityka wymaga się, aby wróżył. Kiedy zwykły śmiertelnik ma zaszczyt stanąć twarz w twarz z politykiem, nigdy nie zadaje mu pytania, jaka jest sytuacja w polityce, lecz: „kiedy się to skończy?", „kiedy wrócimy?", „czy będzie wojna?" itp. Pogrążyć natomiast najwybitniejszego nawet statystę nie trudno, jeśli mu wykazać pomyłki w przewidywaniach. Przed kilku laty np. pewien ceniony publicysta zadał sobie trud wynotowania wszystkich omyłek w przewidywaniach Romana Dmowskiego. Dmowski — pisał ów publicysta m.in. — przepowiadał „żółte niebezpieczeństwo", a tu — he, he, he — Japonia w proszku i Chiny w proszku. I cóż to za polityk, który nie przewidział nawet tego, co będzie za lat dziesięć? Dmowski jednak bynajmniej nie wróżył, tylko przewidywał w oparciu o doskonałą znajomość faktów, a „żółte niebezpieczeństwo", choć chwilowo stłumione, zgoła istnieć nie przestało.

Wróżenie w polityce i publicystyce nie jest, oczywiście, wyłączną właściwością Polaków. Ciekawość przyszłości jest wrodzona wszystkim ludziom. Chiromantki (palmist) cieszą się takim samym powodzeniem na Oxford Street, co na Marszałkowskiej, a cyganki na Paddingtonie nie mniejsze zbierają żniwo niż na Strusinie w Tarnowie. Nostradamus zbłądził pod strzechy tak samo, jak Wernyhora i „przepowiednia z Tęgoborza". W publicystyce wystarczy wymienić głośnego dziś w świecie Jamesa Burnhama, zresztą mylącego się notorycznie.

Publicystyka trzeźwa, niewróżbiarska jest natomiast sztuką niemałą, gdyż wymaga **rozumienia** dziejących się wypadków, a nie wróżenia przyszłych. Rzetelna wiedza pozwala przewidywać ogólny kierunek wydarzeń w takiej mierze, jak wiedza rolnika pozwala przewidywać zależnie od pogody zbiory, a geologia domyślać się po układach ziemi złóż mineralnych. Ekonomia również nie jest wróżeniem na ślepo, ale przewidywaniem opartym na znajomości zjawisk gospodarczych i praw nimi rządzących. Mylić jednak wolno się i rolnikom, i geologom, i ekonomistom, i politykom.

Na naszą emigracyjną publicystykę przypadły — powiedzmy sobie szczerze — lata chude. Ponieważ nie nadzwyczajnie wiele wiemy, wobec tego wróżymy. Często też, zwłaszcza jeśli się nasze przepowiednie nie ziszczą, wymyślamy na rzeczywistość i wydarzenia polityczne, czyniąc podobnie jak Kserkses, który kazał sługom chłostać morze za to, że fale płynęły nie w jego stronę.

Od niejakiego czasu modna jest też publicystyka katastroficzna, absurdalna, stawiająca rzeczywistość na głowie, publicystyka rzec można surrealistyczna. Nie cofa się ona przed żadnym nonsensem, uwielbia paradoksy, grę słów, słowem różne figury literackie. Publicystyka ta grozi zagładą rozsądnemu myśleniu politycznemu i elementarnej logice, na podstawie której ludzie jeszcze ciągle rozróżniają białe od czarnego, pięść od nosa, rząd od folwarku, państwo od kanapy.

Józef Mackiewicz jest utalentowanym publicystą, który wie i rozumie, a nie zgaduje i nie wróży. Wie mianowicie wiele o Sowietach i rozumie ich politykę. Wbrew niemal wszystkim innym „sowietologom" nigdy nie wróży toku wydarzeń w Rosji i nie domyśla się utajonych tendencji tego niesamowitego ustroju. Artykuł Mackiewicza pt. „Kukurydza" w „Wiadomościach" z dnia 1 maja świadczy o jego rzetelnej znajomości faktów z życia i prasy sowieckiej.

Niestety, wnioski tego publicysty są mało powiedzieć absurdalne, ale wprost przerażające. Wedle niego, wszystko, dosłownie wszystko, co się w Polsce dzisiejszej tworzy i buduje, a nawet i to, co się konserwuje służy tylko i wyłącznie zwycięstwu komunizmu nad światem. Oto dosłowne urywki z artykułu:

„... Dziś natomiast szkoła polska, teatr polski, książka polska, gazeta i spółdzielnia nie są koncesją w interesie obywateli, sprzeczną z interesem sowietyzacji, ale wręcz odwrotnie — narzędziem tej sowietyzacji. Wszystko! Nawet remont kościołów..."

„... W tej chwili w Polsce każda rzecz, fabryka, dzieło naukowe, droga, konserwacja zabytku, każdv dom, każda granica państwowa, każda inwestycja społeczna i każdy najmniejszy mostek — służą celom sowietyzacji Kraju, wzmocnieniu bolszewickiego potencjału międzynarodowego."

A więc — wedle Mackiewicza — wszyscy Polacy w Kraju pracują bezpośrednio na rzecz sowietyzacji Polski i wzmocnienia bolszewickiego potencjału międzynarodowego nie tylko w urzędach, wojsku, policji, ale i w przemyśle, w budownictwie, na roli, w szkołach, w ochronkach, szpitalach i żłóbkach. Wrogowi służą nawet ci, którzy odnawiają zburzone kościoły i konserwują zabytki. Pisarze i artyści — stwierdza Mackiewicz expressis verbis w dalszym ciągu swego artykułu — „czynią wszystko, co mogą, aby przyśpieszyć psychiczne zbolszewizowanie Polski i wzmocnić potencjał międzynarodowego komunizmu. Właśnie tym polskim słowem drukowanym." „W Moskwie celebruje się Puszkina, w Warszawie — Mickiewicza." A zatem — pisanie i kupowanie książek w Polsce dzisiejszej, czczenie Mickiewicza, uczęszczanie do teatru, ba, zapewne i nauka czytania i pisania — są wodą na sowiecki młyn. Wszyscy normalni ludzie w Kraju, to sprzymierzeńcy naszego śmiertelnego wroga. Prawdziwv patriota powinien właściwie nie żyć. A my pomagając rodzinom w Kraju — kolaborujemy z okupantem!

Trzeba przyznać, że Józef Mackiewicz jest w swoich poglądach konsekwentny. Kto uważa, że odbudowa Kraju jest choćby tylko pośrednio powiększaniem dóbr polskich, ten, wedle Mackiewicza, jest w błędzie. Takie stanowisko określa publicysta pogardliwie jako „polrealizm".

„... Polrealizm zajmuje w tej sprawie następujące stanowisko: nawet gdyby tak było, że każda rzecz... to jednak wiele z tych rzeczy pośrednio wzmacnia jednocześnie polski stan posiadania; wielkie inwestycje, całe uprzemysłowienie Kraju, wszystko co ma stałą wartość materialną, pozostanie przecie w Polsce."

Czyli, że wszystko, co się w Kraju tworzy i buduje i dla przyszłej Polski przechowuje, jest dziś tak szkodliwe, że lepiej byłoby temu od razu przeszkodzić za wszelką cenę. Mackiewicz postuluje to z otwartą szczerością:

„Moje zdanie jest diametralnie przeciwnie od zdania „polrealistów", gdyż dobro ogólnoludzkie, a więc w aktualnej sytuacji walkę z zagrożeniem bolszewickim, stawiam wyżej dobra poszczególnych narodów."

Krótko mówiąc, Józefowi Mackiewiczowi obojętny jest los Polski, byle by się reszta świata miała dobrze i nareszcie od zmory komunizmu uwolniła. Gdyby więc Mackiewicz miał wpływ na to, nie wahałby się dla uwolnienia świata obsypać Polski bombami A i H.

Nie warto chyba z takimi poglądami rozprawiać. Tylko jak je nazwać? Ślepą nienawiścią, przekornym upodobaniem w absurdach, reakcją pogańską na chrześcijaństwo, czy może wallenrodyzmem litewskim wobec Polaków? Sam Józef Mackiewicz motywuje swe poglądy „dobrem ogólnoludzkim". Najoczywiściej przesadza. Chodzi bowiem wyraźnie o „dobro ogólnoludzkie" z wyłączeniem Polaków.

J. B.

O. KAROL VAN OOST, O. S. B.
B. PRZEOR TYŃCA

WSPOMNIENIA Z TYNIECKIEJ SKAŁY

Stare klasztory mają swoją legendę a im głębiej w przeszłości rozpoczęły się ich dzieje, tym obficiej się krzewią najrozmaitsze o nich opowieści. Baśnie łączą się ze zdarzeniami historycznymi, tak że trudno czasem odróżnić rzeczywistość od wytworu bujnej wyobraźni.

Tak właśnie jest z dziejami prastarej fortecy tynieckiej, która w swoich wiekowych murach ukrywa niejedną legendę ale i wiele ma wspomnień rzeczywistych z piastowskich i jagiellońskich czasów.

Taki jest Wisły przywilej, że drenuje ona na całej swej długości i od samych pradziejów Polski nieprzerwane pasmo ciekawych podań i legend. Na podwórzu klasztoru tynieckiego znajduje się głęboka studnia. Czego bo tam nie opowiadali o niej! To cała taśma rycerskich wyczynów, miłosnych spraw i zdrad. Ale kto potrafi rozwiązać tajemnicę nieznaniej i legendarnej przeszłości Tynieckiego Tynu?

Według filologów nazwa Tyniec pochodzi od skandynawskiego słowa: Tun, podobnego do angielskiego Town i czeskiego Tyn i oznacza fortecę. Nie jestem filologiem, ale przez długie lata mogłem się przekonać, że mieszkałem na potężnej istotnie skale i że nad nią sterczały ruiny cyklopowych murów. Kiedy po wojnie, t.j. w r. 1947, rozpoczęliśmy uprzątanie gruzów, mogliśmy nawet i dotykać wielu sprzętów świadczących o historycznej rzeczywistości starego grodu tynieckiego.

Przedziwne jest położenie naszego opactwa!

W swej książce „Świt słowiańskiego jutra", Paweł Jasienica w ten sposób opisuje tyniecki krajobraz. „Dziwnie postąpiła matka-przyroda z tym tynieckim masywem. Sterczy nad Wisłą imponująca szara skała wapienna. I trzeba dopiero uczonego specjalisty, który rozwieje złudzenie i powie, że ten groźny widok to tylko swoista i naturalna dekoracja. Skała stanowi jak gdyby cienki parawan od frontu. Tuż za nią znajduje się „czapa lessowa". Na niej to, nie zaś na kamieniu, wznosi się kościół i klasztorne gmaszyska." (str. 170.)

Wody wiślańskie dochodząc do Tyńca wykonują zgrabny zakręt. „Rzeka przepływa pomiędzy dwoma ścianami; widnieją istne wrota, niezwykłe, wyraziste, efektowne i na tyle niespodziewane, że wyżej rzeka płynie między miękkimi i polnymi brzegami. To Góra Grodzisko i skała klasztorna z jednej strony, a z drugiej masyw Grodziska Piekary." Po zbadaniu terenu tych różnych skał i wydm okazało się, że mamy do czynienia z jednym całym i zwartym kompleksem obronnym panującym nad całą okolicą, wiążącym się z wielką arterią komunikacyjną Wisły, która te trzy punkty opływa swymi wodami. Wykopaliska otworzyły dla archeologów kolosalny zasób nowych twierdzeń. W głębi wykopów, poprzez liczne warstwy różnych kultur epoki prehistorycznej lub paleolitu, łużyckiej i późniejszej, znaleziono kamienie ciosane i łupane, skorupy glinianych naczyń, obróbki żelazne, kości zwierząt domowych i td. — Co więcej, na wzgórzu opactwa odkryliśmy przeszło 40 palenisk — tzw. ziemianki, co świadczyło, że ówcześnie tyn tyniecki liczył ok. 100 głów. Naokoło tych ognisk, walały się prawie nieuszkodzone naczynia gliniane o różnych a zgrabnych kształtach. Można przypuszczać, że pan tego grodu szerokie miał stosunki ze światem, bo mówiły o tym kawałki bursztynu, prawdopodobnie z wybrzeży Bałtyku a także resztki ceramiki rzymskiej.

Roboty prowadził pan Gabriel Leńczyk. Nie można chyba było znaleźć bardziej odpowiedniego poszukiwacza i archeologa. Posiada on niesłychany węch, co potwierdza fakt znalezionych wykopalisk.

Nad tymi warstwami epoki prehistorycznej łużyckiej wzniósł się prymitywny klasztor w XI w., z fundamentem kamiennym i ścianami z drzewa. Potem powstały mury z kostek romańskich, częściowo dotąd zachowane. Lecz tutaj dochodzimy do samej historii opactwa.

Skąd przyszli pierwsi mnisi tynieccy? Istnieją na ten temat dwie wersje. Tadeusz Wojciechowski, w swoim dziele „Szkice historyczne jedenastego wieku" wspomina jedną i drugą. Wiadomo, że najdawniejsza wzmianka kronikarska o założeniu klasztoru znajduje się w kronice śląsko-polskiej z końca XIII w., gdzie czytamy, że na Tyńcu osadził benedyktynów Kazimierz Mnich, t.zw. Odnowiciel, sprowadziwszy konwent z Leodium. Czy Kazimierz był istotnie mnichem w Cluny, we Francji, zanim wstąpił na tron? Jeżeli to prawda, to piękny był gest władcy, który zmuszony do przyjęcia berła, nie zapomniał jednak o latach spędzonych w „Przedsionku raju" i zatęskniwszy za tamtym Bożym życiem, zapragnął mieć obok siebie swoich wczorajszych współbraci. Zdarzyło się to w r. 1044. W Tynieckim krużganku, pod naiwnie rzeźbionym posągiem fundatora, umieszczono płytę marmurową z napisem w stylu barokowym mówią-



KLASZTOR W TYŃCU.

cym, że „Casimirus, casu miro" — do tronu był powołany, ale do klasztoru wstąpił, jednak z powrotem znalazł się na tronie i założył wówczas opactwo tynieckie.

Inni uczeni, opierając się na bulli Grzegorza IX z r. 1229 twierdzą, że trzeba Bolesławowi Śmiałemu przypisać fundację. Być to może, że dzięki temu hojnemu czynowi król-zabójca odpokutował za zbrodnię w węgierskim klasztorze. Przypuszczam, że tyńczanie woleli jednak zostawić w milczeniu szczodrobliwość Bolesława, bo przecie nie bardzo wypadało, aby zabójca świętego Stanisława miał być założycielem czcigodnego klasztoru. Więc ustaliła się niebawem tradycja fundatorska całkowicie i wyłącznie na rzecz Kazimierza Mnicha, którą też podała kronika śląska jako jedyną.

Bądź co bądź pierwsi mnisi żyli najpierw na krakowskim Wawelu. Pierwszy opat Aaron pochodził z Księstwa Leodiuńskiego. Na potwierdzenie tego faktu mamy na Wawelu kaplicę św. Leonarda. Otóż tak samo w opactwie w Lubiniu, w woj. poznańskim, istnieje do dziś dnia prześliczny kościółek romański poświęcony temu Świętemu. Lubiński klasztor został założony przez mnichów z opactwa św. Jakuba w Leodium. To fakt historyczny. Otóż w tej miejscowości a nawet w dalszych od niej okolicach, po całych Ardenach, nabożeństwo ku czci św. Leonarda cieszy się wielkim powodzeniem.

Około 1075 r., konwent mnichów wawelskich został wydzielony z kleru katedralnego i osiadł w Tyńcu. Od tej chwili zaczyna się nieunikniona historia wyposażenia klasztoru. Zapisy i różne dotacje następują po sobie aż doszło do ogromnego majątku. Nazywano Tyniec: „Ab batia quinque civitatum et centum villarum". Może w tym jest trochę przesady, ale fakt to niezaprzeczony, że Tyniec stał się zaiste potęgą w średniowiecznej Polsce.

W kartach dziejów tynieckich, znajdujemy zaszczytne okresy. Częstokroć królewscy książęta, pod opieką sławnego kronikarza królewskiego Długosza, bawili w klasztorze. Święty młodzieniec Kazimierz nieraz brał udział w nabożeństwach i w śpiewach mnichów.

Ale Tyniecki Tyn w swej historii posiada również i bohaterskie karty. W XIII wieku Tatarzy splądrowali i podpalili klasztor. Mnisi nie mieli nawet czasu do ratowania skarbu klasztornego. Wszystko zostało zniszczone.

Czy po tej klęsce, kościół pierwotnie wzniesiony w stylu romańskim (muzeum opactwa posiada z tej epoki piękne okazy) został odbudowany w stylu gotyckim? Nie wiemy. Może się to stało dopiero za panowania opata Mateusza Skawinki — 1450 — 1477, który obdarzył swój klasztor wspaniałą świątynią tegoż stylu. Kronikarze bezustannie sławili jej piękność. Następny opat, Andrzej Orga, prowadził dalej dzieło swego poprzednika, dodając świątyni nowy krużganek. Krużganek ten do dziś pozostał, przynajmniej zachowały się jego trzy skrzydła. Na kluczach sklepienia znajdujemy rzeźbiony herb „Jelita".

Opat Mikołaj Mielecki (około roku 1575) otworzył gimnazjum, czyli szkołę opacką. Była to nowość, zwłaszcza że metody w niej stosowane były na te czasy dość postępowe. Hałaśliwa młodzież tyniecka pozwalała sobie nieraz na homeryczne wycieczki do Krakowa podczas karnawału. Opat Mielecki zamierzał założyć w Tyńcu żywy ośrodek studiów humanistycznych. Wzbogacił bibliotekę i sprowadził z Włoch przyrządy naukowe do fizyki i astronomii. Zakrystia zawdzięcza mu również wspaniałe ornaty, nazwane przez kronikarzy: „Praenobiles".

Opat Mielecki zmarł w r. 1604, a po nim rozpoczął się niestety okres upadku. Po opatach regularnych czyli zakonnych, zostali mianowani opaci komendatariusze, świeccy lub duchowni, lecz nie mający nic wspólnego z życiem klasztornym. Otrzymywali oni czasem już od kolebki opactwa lub inne dobra kościelne: to znaczy, że mieli prawo rezerwować sobie największą część dochodów. Na ogół dobro duchowe powierzonych ich pieczy zakonników lub zakonnic nie wiele ich obchodziło. A jeżeli między nimi byli i tacy, którzy obdarowywali swoje opactwa hojnymi darami, to raczej był to tylko gest wielkopański. Niemniej w Tyńcu drugi opat komendatariusz, biskup Stanisław Łubieński, okazał większe zrozumienie dla potrzeb klasztoru. Leżał mu na sercu postęp duchowy zgromadzenia. Poza tym gruntownie odnowił kościół w ówczesnym stulu barokowym. W r. 1622 świątynia została uroczyście konsekrowana.

W r. 1772, po raz trzeci, Tyniec przeżył długie oblężenie. Konfederaci barscy bronili się w ufortyfikowanym klasztorze, Kazimierz Pułaski i przyszły generał rewolucji francuskiej, Dumouriez, byli na czele załogi. Nowe zniszczenia a po nich nowa restauracja.

Ostatni opat Janowski został mianowany w r. 1786 biskupem nowej erygowanej diecezji tarnowskiej, która przez jakiś czas nosiła tytuł diecezji tynieckiej. Razem z nim poszedł skarb kościelny, który obecnie zachowany jest w muzeum diecezjalnym w Tarnowie.

W r. 1805 benedyktyni z Bawarii zajęli klasztor. W cztery lata później, Józef Poniatowski oswobodził Kraków, ale niemiecki konwent zabrał ze sobą wszystko, co dało się przewieźć. Nieruchomości przeszły do rąk biskupa krakowskiego. Przez cztery lata ojcowie jezuici przebywali w opuszczonym klasztorze. Otworzyli tu gimnazjum, lecz straszliwy pożar spustoszył do szczętu cały gmach. Jezuici powędrowali potem do Staniątek a następnie do Nowego Sącza. Zamarło życie na tynieckiej skale. Jedynie wycieczki krakowian i ludności okolicznej ożywiały od czasu do czasu ponure ruiny. Każdy wracając stąd do domu przynosił z sobą bądź jakiś kamień, bądź jakiś szczegół artystyczny. Tubylcy zaś, mając pod ręką tak świetną okazję, woleli cienkie płyty marmurowe i belki dębowe.

Dopiero ks. kardynał Puzyna usiłował ocalić to, co pozostało. Z wielkim pietyzmem naprawiał część dachów. Sam wybrał opatówkę jako swą siedzibę letnią. I tak się skończyła przeszłość Tynieckiego Tynu.

Pewnego dnia, w końcu czerwca r. 1939, tynieccy włościanie nie bez zaciekawienia ujrzeli trzy ciężarówki napchane najrozmaitszymi gratami. Wozy z trudem posuwały się pod górę zasłaniającą wieś od strony Skawiny. Z niemałym zdumieniem patrzyli wieśniacy na młodych zakonników siedzących na tobołach lub skrzynkach. Wydawali się zupełnie nieznani. Byli to benedyktyni. Wzięli w posiadanie wiekowy klasztor. Dzięki hojności księcia arcybiskupa Adama Sapiehy, mała ich gromadka z Belgii, która od trzech lat mieszkała w Rabce, i w międzyczasie stworzyła tam skromny internat, znalazła wreszcie wymarzoną siedzibę, stary klasztor, zrujnowany, ale zawsze czcigodny i drogi. W miesiąc później odbył się oficjalny ingres, w obecności opata Świętego Andrzeja z Belgii, Ojca Teodora Nève. Zaopatrzeni w błogosławieństwo swego przełożonego, młodzi zakonnicy, pełni zapału i odwagi zabrali się do pracy.

Pierwszy wrzesień. Wojna! Straszny i nagły wstrząs, bo przecież przez te pierwsze tygodnie instalacji byliśmy zatopieni w wapnie, w piasku, nic nie widzieliśmy poza tym. Co się stanie z tą łódeczką w cyklonie? Bez pieniędzy, bez zapasów żadnych, bez doświadczenia, oderwani od wszelkiego kontaktu z domem macierzystym, zgromadzeni w starych, wilgotnych i zniszczonych murach, rozpoczęliśmy hazardowne przedsięwzięcie. 65 miesięcy pod żelaznym uciskiem hitlerowskiej okupacji! Pamiętam te zimowe wieczory w r. 1939 i w 1940 r., kiedy to z powodu niezbędnych oszczędności spędzaliśmy rekreację w egipskich ciemnościach. Siedzieliśmy ściśnięci w kole filozofując nad zdarzeniami wojennymi i nad plotkami, które doszły przez „j. p." z Krakowa. Był obóz optymistów i obóz pesymistów. W chórze kościelnym dzwoniliśmy zębami od zimna. Były dni, kiedy w kościele było 15 stopni mrozu! W refektarzu krucho i jeszcze jak! Ale jak to bywa zawsze podczas wojny, człowiek staje się pomysłowym. Nasi ojcowie prokuratorzy kosztem niesłychanych wysiłków zdołali powoli polepszyć codzienne posiłki i zaopatrzyli nas w najniezbędniejsze zapasy. Nawet tak, jak to przystoi klasztorowi benedyktyńskiemu, mieliśmy podczas świąt sporo gości. Ludzie coraz bardziej skłaniali się do nabożeństw liturgicznych. Liczba biednych również po-

(Dokończenie na str. 2)

WSPOMNIENIA Z TYNIECKIEJ SKAŁY

(Dokończenie ze str. 1)

większyła się z biegiem lat. Były okresy, kiedy aż trzystu zjawiało się codziennie na zupę.

Do roku 1946 proboszcz święcki pozostał na miejscu. Trudno było czasem pogodzić nabożeństwa z innymi parafialnymi czynnościami. Nieraz pogrzeby i śluby odbywały się w niespodziewanych a przynajmniej nieoczekiwanych porach, co bardzo często powodowało komiczne sytuacje.

Z czasem apostolstwo mnichów rozwijało się: konferencje, rekolekcje, spowiedź na miejscu, w Krakowie i po różnych miejscowościach całej Polski. Ba, nie brakowało „wędrujących" mnichów, ale nie chodziło bynajmniej o wycieczki turystyczne. Podróże podczas okupacji niemieckiej, jak i potem, nie należały do przyjemności. Bez przesady mogę stwierdzić, że Episkopat ocenił naszą pracę. Nie jeden biskup nas odwiedził w ciągu tych lat. Ale „timeo Danaos", ich zaszczytne wizyty kończyły się prośbą o jakąś pomoc i współpracę. Wierzyłem „pro forma", lecz koniec końcem najczęściej ulegałem przekonywującym argumentom.

18 stycznia 1945 r. Tyniec przeżył w swej historii czwarte oblężenie. Hitlerowcy w popłochu bronili się jak mogli. Dzięki swemu położeniu, skała nasza świetnie mogła służyć jako punkt obserwacyjny, albowiem z naszych okien łatwo było mieć oko na trzy drogi wiodące ku zachodowi. Otóż cała armia niemiecka ściśnięta była między Tarnowem i Krakowem, mając jako jedyne wyjście tor kolejowy ze Skawiny do Wadowic i Oświęcimia. Toteż pamiętnego dnia, wczesnym rankiem, przyszedł niemiecki oficer sztabowy, żądając pokojów jako punktów obserwacyjnych. Dodał dla pociechy: „Nie łudźcie się! Nic nie zostanie z waszego klasztoru!" A w dwie godziny później pierwsze czołgi sowieckie zaczęły szturmować klasztor. Witraż nad wyjściem z kościoła rozleciał się w kawałki po pierwszym szrapnelu.

Do starych ruin dołączyły się nowe. Pociski spadały tak gęsto na wieże kościelne, że wyglądały już jak sito. I trwało to pięć dni. Zaiste piekło! Tymczasem siedzieliśmy skuleni na dole jednej wieży, mając ze sobą Przenajświętszy Sakrament.

22-go w południe Niemcy już nie mogli dalej wytrzymać; uciekli zabierając parę naszych koni. Przed wieczorem walka ucichła; jedynie od czasu do czasu szczekanie karabinów maszynowych szukających gniazd ukrytych żołnierzy... A potem zaczęła się „nowa era"! Czasy heroiczne jeszcze się nie skończyły. Na nowo trzeba rozpocząć, „ab ovo". Otworzyły się nowe pola działania. Konferencje po seminariach i klasztorach. Dwóch ojców zabrało się do opracowania drugiego wydania „Mszalika Polskiego". Z końcem r. 1949 zjawiły się pierwsze egzemplarze, a od tego czasu prośby o mszalik nie przestają napływać. Zarówno w czasie wojny jak i później zgromadzenie tynieckie dzielnie pracowało nad rozszerzeniem ruchu liturgicznego wśród duchowieństwa i mas wiernych. Mając parafię na miejscu mogliśmy doświadczać najpierw u siebie cośmy potem innym polecali.

Obok zewnętrznego apostolstwa znalazło się i inne. Warto podkreślić jego doniosłość. Chodzi o samą modlitwę. Benedyktyn, to przede wszystkim mąż modlitwy. Całe działanie i całe promieniowanie na zewnątrz zależy od termometru jego życia wewnętrznego. Właściwie, to jego pierwsza racja bytu. Ojcowie w Tyńcu to rozumieją. Wiedzą, że gdyby poświęcili to co jest istotne „herezji aktywizmu", przyrzekliby koniec ich wpływu i autorytetu. Klasztor benedyktyński powinien być nie tylko „kanałem" lecz „zbiornikiem" łask. A czego Polska najbardziej potrzebuje jeśli nie tych oaz spokoju i skupienia wewnętrznego, gdzie można oddychać Bożym powietrzem? Może to zwykły przypadek, ale wolę w tym widzieć znak Opatrzności, że przed samym rozpoczęciem najstraszliwszej wojny i klęsk dla Polski otworzył się na nowo dom Boży na starej skale tynieckiej. Zakwitło na niej życie w samym klimacie śmierci. Wichry uderzały w młode fundacje, lecz dzięki im właśnie zakładała ona głębokie swoje podwaliny. Jako świadek tego dzieła Bożego, mimo jego chwiejnych początków, ani chwili nie wątpię, że oto wolą Bożą było, aby Tyniec powstał.

A co będzie jutro? Nie jestem prorokiem, ale myślę i wierzę, że „quod Deus operatus est, Ipse perficiet." „Ten, który rozpoczął dobrą sprawę, dokona jej". (Fil. I, 6). Oczywiście niezbadane są drogi Pańskie. Rozpoczęta w opatrznościowych okolicznościach w przededniu wojny, fundacja przechodziła i dziś jeszcze przechodzi niejedną ciemną noc...

Wydaje mi się, że istnieje pewne podobieństwo między Tyńcem i Monte Cassino. Na przestrzeni swego istnienia sławne „Archicoenobium" przeżyło napady Longobardów, Saracenów, Normanów i wreszcie piekło ostatniej wojny. Tyniec zaś przetrwał natarcia Tatarów, Szwedów, Moskali, zaś w r. 1945 odbył się w jego murach epizod gigantycznego pojedynku hitlerowsko-sowieckiego.

Do tej pory opactwo tynieckie zachowało swój herb, lecz brak mu dewizy. Przypuszczam, że nasi czcigodni współbracia z Cassino nie wezmą mi za złe, jeżeli zastosuję ich dewizę także do naszej nadwiślańskiej skały: „Succisa virescit"-„Ścięte odrasta"!

MIŁOSIERDZIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

WOBEC „WIELKICH PRÓB" DOBY OBECNEJ

(O KONGRESIE „CARITAS INTERNATIONALIS" W RZYMIE)

„Przez sprawiedliwość oddajemy bliźniemu to, co mu się należy, przez miłosierdzie zaś dajemy mu coś co jest nasze."

Św. Tomasz z Akwinu

Miłosierdzie chrześcijańskie zasadniczo różni się od wszelkiej filantropii i rozmaitych przejawów humanitaryzmu, z którymi się powszechnie spotykamy. Praktykowanie miłosierdzia nie jest cnotą łatwą ani człowiekowi wrodzoną, jest ono sprawnością moralną, której się trzeba uczyć, bo nie może się tylko opierać na odruchach dobrego serca. Chrześcijańska caritas wymaga więc odpowiedniej postawy duchowej od tych, którzy ją praktykują, bo ogarnia ona wszelkie ludzkie cierpienie, nie tylko materialne, ale i moralne. Miłosierdzie chrześcijańskie i pomoc przez nie świadczona idą więc dalej i głębiej, niż wszelka opieka społeczna w nawet najlepiej zorganizowanych i najbogatszych „welfare states", docierają zaś przede wszystkim tam, gdzie nigdy nie potrafi sięgnąć roszczące sobie pretensje do wszystkich dziedzin ludzkiego życia państwo totalne.

Akcja charytatywna Kościoła leży w istocie jego misji tak jak Akcja Katolicka. Musi się ona opierać na ludziach wyrobionych duchowo i odpowiednio przygotowanych, znających skomplikowane zagadnienia, musi być zorganizowana sprawnie i przystosowana do zapobiegania złu w skomplikowanych warunkach nowoczesnego życia. Stąd rozrost we wszystkich krajach wszelkich stopni „Caritasu".

Czasy obecne stawiają przed akcją miłosierdzia chrześcijańskiego zadania szczególnie trudne i bardzo nieraz rozległe. O nich to radzono na wielkim Międzynarodowym Kongresie Charytatywnym. Podajemy o nim trochę szczegółów, które mogą zainteresować każdego, żyjącego życiem Kościoła katolika.

„CARITAS INTERNATIONALIS"

Jakkolwiek potrzeby i niedostatki w poszczególnych krajach są rozmaite, to jednak od wielu już lat poszukiwano na terenie międzynarodowym sposobu wspólnego załatwiania tych pomocy, które przerastają możliwości poszczególnych krajów lub też są przedmiotem troski ogólnej. Dążono też stale do wymiany doświadczeń i metod działania społecznego.

Podczas Kongresu Eucharystycznego w Amsterdamie, w 1924 roku, utworzono organizację pod nazwą „Caritas Internationalis", która wnet rozciągnęła swą działalność na wszystkie pięć części świata. Jak zaś słuszna była ta inicjatywa, okazało się szczególnie po ostatniej wojnie, kiedy same choćby tylko zawikłane problemy uchodźcze świadczą, jak wiele spraw miłosierdzia chrześcijańskiego wykracza poza ramy narodowe i staje się sprawą ogólną dotyczącą wszystkich chrześcijan.

Jakby na zakończenie Roku Maryjnego, „Caritas Internationalis" zwołał do Rzymu w początkach grudnia 1954 roku Międzynarodowy Kongres Charytatywny, w którym wzięło udział ponad 1.000 delegatów dzieł i organizacji charytatywnych z 30 krajów całego świata. Kongres ten w pełni wykazał jak olbrzymie jest dziś pole działania akcji dobroczynnej Kościoła i jak wspaniałe wyniki osiągnięto dzięki wspólnemu działaniu w akcjach takich jak np. opieka nad dziećmi i młodzieżą, jak zwalczanie epidemii i chorób społecznych, jak opieka nad jeńcami wojennymi, a przede wszystkim dzięki wspólnej trosce o los licznych emigrantów, uchodźców i wysiedleńców. Tutaj właśnie nawiązanie łączności i współpracy, między wielkimi instytucjami narodowymi i ustalenie głównych wytycznych akcji ratunkowej wskazały na ogromne znaczenie praktyczne ostatniego Kongresu. Niemałe też znaczenie ma nawiązanie współpracy z ONZ i jej organami oraz **udział katolików, a przede wszystkim ich wpływ** w wielkich światowych akcjach pomocy.

CHARYTATYWNA DZIAŁALNOŚĆ KOŚCIOŁA W DZISIEJSZYM PAŃSTWIE.

Głównym tematem ideowej strony kongresu była sprawa roli miłosierdzia chrześcijańskiego w nowoczesnym państwie, a zwłaszcza w tzw. welfare state oraz w ustrojach totalnych.

Główny prelegent na ten temat ks. P. M. Richaud, arcybiskup Bordeaux, wskazał na fakt, iż w dobrze zorganizowanych społeczeństwach obecnego wieku oraz przy rozbudowanej organizacji pomocy społecznej niektórzy gotowi są uważać działalność charytatywną za zbyteczną. Systemy totalne zaś wprost wykluczają miłość bliźniego i na jej miejsce wysuwają pomoc państwa. Trzeba dziś bronić prawa do bytu miłosierdzia chrześcijańskiego właśnie w obrębie walki, jaką się toczy z duchowymi herezjami współczesnymi.

Na zarzut, iż miłosierdzie powinna zastąpić sprawiedliwość społeczna, która nie naraża na szwank godności człowieka — stwierdził ks. abp Richaud — iż właśnie miłosierdzie, oparte na miłości, jest najlepszą szkołą poszanowania człowieka, bo tylko miłość do Boga, jako wspólnego Ojca, może nas skłonić do prawdziwego braterstwa. Sprawiedliwość prawdziwa i pełna jest możliwą tylko tam, gdzie ludzie rezygnują ze swoich interesów i gotowi są w imię miłości stawiać innych na swoim miejscu. A pierwszym warunkiem miłości jest oddać każdemu to, co mu się słusznie należy — a to jest właśnie sprawiedliwość.

Miłość to klucz do tajemnicy społecznego zrozumienia — wskazuje na to już św. Tomasz z Akwinu, wskazują nowocześni papieże w swych encyklikach. Pius XII nazywa miłość źródłem sprawiedliwości.

Temat uzupełniły wywody ks. M. Hanssena, biskupa koadiutora diecezji Roermond w Holandii, który podkreślił wpływ akcyj charytatywnych na akcję społecznej sprawiedliwości, tak iż śmiało można twierdzić, że wczorajsze miłosierdzie to dzisiejsza sprawiedliwość społeczna. O właściwym kierunku rozwoju społecznego można mówić wtedy, gdy się zachowa osobistą wolność i inicjatywę, a nie będzie się wszystkiego pozostawiało do załatwienia państwu, które powinno spełniać wszystkie swe zadania w sposób odpowiadający zasadniczym poglądom obywateli. Dopiero taka harmonia i równowaga tego rodzaju pozwalają spełniać miłosierdziu jemu właściwą rolę w życiu społecznym narodu.

AKCJA CHARYTATYWNA A PAŃSTWOWA OPIEKA SPOŁECZNA

Ten temat specjalny, wchodzący w obręb rozważań ogólnych objętych tematem poprzednim, referował na kongresie prezes „Caritasu" w Niemczech, ks. prałat A. Eckert z Fryburga w Bryzgowii. Zaznaczył on zaraz na wstępie, iż obie te formy pomocy mają swe uzasadnienie i sobie właściwe zadania, a więc powinny się uzupełniać. Caritas — to konieczna postawa życiowa każdego chrześcijanina i chrześcijańskiej parafii, to część życia Kościoła, które się musi swobodnie rozwijać.

Państwo i jego działanie mają za cel doczesną pomyślność ludzi. Powinno ono wkraczać dopiero wtedy, gdy siły jednostki nie pozwalają na zapewnienie jej doczesnego dobrobytu i osiągnięcia celów życia, a pomoc bliźniego nie wystarcza również. Dziś, w okresie takich kataklizmów jak wojny światowe, państwo ma ciężki obowiązek odszkodowań i restytucji. Ponadto, te wstrząsy powodują tak masowe potrzeby, iż ustawodawstwo pomocy stale narasta, a aparat pomocy państwowej wciąż olbrzymieje. To sprawia też, że cały punkt ciężkości przenosi się na sprawy czysto materialne i że zwolna zanika przekonanie, iż także i jednostki mają jakieś obowiązki wobec cierpiących.

Stąd właśnie płynie konieczność współpracy opieki społecznej samorządów i państwa z wolną działalnością charytatywną, a więc nie może być mowy o monopolu państwa, zwłaszcza gdy chodzi o takie sprawy jak wychowanie sierot i pielęgnowanie chorych, bo tu państwo może z wielkim pożytkiem korzystać z dzieł miłosierdzia chrześcijańskiego. Państwowa pomoc materialna dla tych dzieł nie powinna być udzielana za cenę nadmiernej kontroli.

Od chrześcijańskiej akcji charytatywnej trzeba wymagać, aby współpracowała z państwem, by działała systematycznie, i miała dobrą i celową organizację, oraz by zapewniała zawsze współdziałanie z sobą wszystkich organizacji katolickich, aby stale kształciła ideowych, świadomych i dobrze przygotowanych do swych zadań pracowników, dając również państwu ludzi kierujących się miłością Boga i bliźniego w sprawowanej opiece społecznej.

ZADANIA CHARYTATYWNE DOBY DZISIEJSZEJ

Kongres ujął też we wnioskach swych szczególne wymagania, jakie pracy chrześcijańskiego miłosierdzia narzucają czasy obecne.

Musi ona ogarniać wszystkie biedy ludzkie i docierać wszędzie. Nowoczesne środki informacji przynoszą nam wciąż wiadomości o wielkich katastrofach, epidemiach, wysiedleniach. Te wstrząsy ogarniają nieraz całe wielkie połacie krajów i dlatego wszyscy chrześcijanie muszą mieć serca otwarte na wszelką ludzką biedę.

Pius XII mówi o czasach „wielkich prób" i ostrzega nas przed odsyłaniem do oficjalnych biur pomocy wszelkiej biedy pukającej do naszych drzwi, bo biedni potrzebują naszego osobistego udziału, naszego dobrego słowa i serca. Pomagajmy biednym, jak pomaga nam nasz Ojciec — Bóg, który do nas posyła własnego Syna.

Chrześcijańskie miłosierdzie nie rezygnuje z organizacji, bo wie, że wiele współczesnych potrzeb wymaga i naszego osobistego wysiłku i zgodnego działania a przede wszystkim dostosowania się do panujących stosunków społecznych, aby pomagać tam, gdzie tego naprawdę zachodzi potrzeba.

Nieraz nagłe zmiany w stosunkach społecznych wymagają rewizji metod, którymi posługują się w swej działalności organizacje miłosierdzia, bo powstają nowe potrzeby i nowe pola działania. Chrześcijańska akcja miłosierdzia musi iść głębiej, niż pomoc społeczna, sięgać do psychologicznych i socjologicznych dociekań, do badań środowiska, stąd nieraz konieczne jest specjalizowanie zadań i ustalanie współpracy. W ten sposób można osiągnąć cel prawdziwej pomocy, a jest nim przywrócenie lub danie jednostce możności samodzielnego istnienia.

CZŁOWIEK NOWOCZESNY I CARITAS

Działacze charytatywni stają dziś wobec człowieka nowoczesnego, który posiada bardzo silne poczucie swych ludzkich praw. Przyznane mu prawo do życia, do nienaruszalności osoby, do ochrony czci i godności budzi w nim dążenie do samodzielnej troski o własną rodzinę. Nie chce on prosić o datki lub przyjmować jałmużny. Opinia publiczna jednakże przeważnie przyznaje mu prawo do korzystania z pomocy. Ważnym zadaniem Caritasu jest umieć należycie oceniać taką postawę i wychodzić jej naprzeciw. Działacz charytatywny powinien się więc starać, aby ludzi wydobywa ze stanu zależności i stopniowo ich wprowadzać na drogę osobistej zaradności i samodzielności. Ale przy tym powinno się też dzisiejszemu człowiekowi tłumaczyć, iż fakt, że o pomoc konieczną prosi i że ją otrzymuje — nie narusza wcale jego ludzkiej godności, gdyż to odpowiada jego stosunkowi do Stwórcy i Ojca, który za pośrednictwem ludzi dba o swe stworzenie.

*

Kongres obradujący nad skutecznością i nowoczesnymi formami nowoczesnej akcji miłosierdzia chrześcijańskiego, odbywał się pod protektoratem Stolicy Apostolskiej, a w jego obradach brało udział 4 kardynałów, z których kard. Piazza zwrócił szczególną uwagę na wielkie zadania Caritasu na terenach misyjnych.

Ponownie zaś obrany prezes „Caritatis Internationalis" ks. prałat F. Baldelli (Włochy), wskazał w swym końcowym przemówieniu, iż „w walce o pokojowe współżycie i wzajemne zrozumienie Caritas ma się okazać elementem łączącym. Rozmaitość języków, tradycyj i stosunków politycznych dzieli narody od siebie, opierająca się zaś na Zbawicielu Caritas chrześcijańska jest pewnym fundamentem oraz skutecznym i decydującym czynnikiem porozumienia między narodami".

J. Cz.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

OTWARCIE PROCESU informacyjnego w sprawie beatyfikacji ś. p. metropolity A. Szeptyckiego

Jak podaje wychodzący w Monachium tygodnik ukraiński pn. „Chrystianśkij Hołos", starania wszczęte w roku ub. w Rzymie w św. Kongregacji Obrzędów przez Wizytatora Apostolskiego dla Ukraińców na emigracji w zachodniej Europie, J. E. ks. biskupa Iwana Buczkę, zostały uwieńczone powodzeniem i wszczęty jest już tzw. proces informacyjny w sprawie beatyfikacji zmarłego w roku 1945 we Lwowie ś. p. ks. Andrzeja Szeptyckiego, arcybiskupa - metropolity lwowskiego, obrządku grecko-katolickiego.

W związku z tym ks. biskup Buczko wydał odezwę do kleru grecko-katolickiego oraz do wiernych w zachodniej Europie zawierającą odpowiednie informacje oraz wezwanie do zbierania materiałów do procesu informacyjnego i środków materialnych.

Z odezwy tej dowiadujemy się, iż postulatorem sprawy beatyfikacji został ks. archimandryta Piotr Kreuza, który w poszczególnych krajach dobierze sobie wice-postulatorów.

Ś. p. arcybiskup-metropolita Andrzej hr. Szeptycki, jedna z najwybitniejszych postaci wschodniego Kościoła katolickiego, pochodził z rodziny polskiej i szkoły średnie skończył w Krakowie. Matka jego była córką znanego pisarza, Aleksandra hr. Fredry. Z jego trzech braci jeszcze jeden, Klemens, poszedł w jego ślady i był mnichem grecko-katolickim i przeorem klasztoru studytów w Uniowie, w Małopolsce wschodniej. Dwaj pozostali, to znany polski generał Stanisław Szeptycki oraz właściciel Przyłbic pod Lwowem, ś. p. Leon Szeptycki, okrutnie zamordowany przez bolszewików w roku 1939.

Ks. P. Kreuza, postulator sprawy beatyfikacji ś. p. ks. metropolity Szeptyckiego, również pochodzi ze znanej polskiej rodziny.

Dokoła czci św. Piusa X. Dekret św. Kongregacji Rytów z dnia 1 marca ustala formularz Mszy św. i teksty brewiarzowe na uroczystość św. Piusa X, która jest wyznaczona na dzień 3 września. Na prośby Episkopatu całego świata i zakonów i instytucji religijnych Ojciec św. uroczystość św. Piusa X rozciągnął na cały świat.

50-lecie dekretu św. Piusa X. W roku bieżącym mija 50-letnia rocznica dekretu wydanego przez św. Piusa X w sprawie częstej Komunii św. Dekret ten, wraz z dekretem wydanym w 5 lat później w sprawie wczesnej Komunii św. dzieci, stanowią epokowe wydarzenie w dziejach Kościoła. Dzięki tym dekretom i dekretowi Piusa XII w sprawie Mszy św. wieczornych, miliony wiernych przystępują codziennie i od najwcześniejszych lat do Komunii św., co stanowi silną przeciwwagę wobec wzmożonego zła.

Wieczorne Msze św.. W 40 prawie kościołach rzymskich odprawiają się Msze św. wieczorne w każdą niedzielę. W Londynie w katedrze św. Jerzego (stacja kolejki Lambeth North na południe od Waterloo), Msza św. w każdą niedzielę odprawia się o godz. 5.30 po południu. Oczywiście w czasie tej Mszy św. można przystępować do Komunii św., przy zachowaniu przepisów dotyczących postu eucharystycznego, tzn. można zjeść obiad na trzy godziny przedtem, a napijów można używać na godzinę przedtem.

Otwarcie wystawy Fra Angelico. W Pałacu Watykańskim Ojciec św. Pius XII dokonał w dniu 20 kwietnia uroczystego otwarcia wystawy dzieł fra Giovanni da Fiesole, zwanego Angelico, poświęcając długie i niezwykle interesujące przemówienie sztuce malarskiej Fra Angelico.

Nowy generał dominikanów. Generałem zakonu dominikanów został wybrany o. Michele Browne, urodzony w Irlandii 6 maja 1887. Nowy generał znany jest z prac dotyczących wielkiego dominikanina, św. Tomasza z Akwinu; pisał też o teologicznej wartości encykliki Piusa XII „Humani generis", w której Papież omówił m. in. zagadnienie ewolucji. (Encyklikę tę wydał Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" w tłumaczeniu na język polski.)

800-letnia rocznica chrześcijaństwa Finlandii. W obecnym roku mija 800 lat od chwili, gdy ze Szwecji przybył do Finlandii św. Henryk, biskup Upsali, Anglik rodem. Misja jego została ukoronowana męczeństwem w roku następnym, 20 stycznia. W dwa lata potem kanonizował go Hadrian IV, z którym jako jeszcze wówczas biskupem Mikołajem, przybył św. Henryk z Anglii do Szwecji. Dla uczczenia tej rocznicy Finlandia, w której katolicyzm jest w absolutnej mniejszości, wydaje pamiątkowe znaczki pocztowe w ilości 2 milionów egzemplarzy. Jeden ze znaczków przedstawia św. Henryka lądującego na ziemi finlandzkiej, drugi — posąg Świętego. Na obu walorach jest napis: 1155, 1955.

Dzień katolicki w Hollywood. 1.500 artystów, gwiazd filmowych, producentów i reżyserów brało udział w czwartym dniu katolickim w Hollywood, zarządzonym przez kardynała Mac Intyre, arcybiskupa Los Angeles. Artystka Ann Blyth wraz z Pat O'Brien zorganizowali doskonale uroczystości, w czasie których prawie wszyscy uczestnicy przystąpili do Sakramentów świętych. Na zakończenie dnia katolickiego przemawiała Ann Blyth, zachęcając zebranych do czytania i posługiwania się prasą katolicką w celu pogłębiania poznania Boga i wiary katolickiej.

KOŚCIÓŁ W UCISKU SYSTEMU KOMUNISTYCZNEGO

WIETNAM

Ucieczka z poddanego władzy komunistów północnego Vietnamu przeszło półmilionowej rzeszy ludności, przypominająca wyjście Żydów z Egiptu, kraju niewoli, nie pozwala spać spokojnie komunistom. Temu faktowi poświęcił „Osservatore Romano" w numerze z 13 lutego artykuł wstępny pt. „Co chcą ocalić?".

Zastanawiające jest, że lud, który wykazał w czasie wojny niebywałe przywiązanie do swego kraju, do kilku metrów pola ryżowego, do chatki, grobów, ołtarzy przodków — emigruje tak masowo, że gdyby nie trudności stawiane przez komunistów, prawdopodobnie w całości by wyemigrował. Na tratwach zrobionych z trzciny bambusowej emigrują wyzbyci ze wszystkiego, ale wiozący ze sobą obrazy święte i prawie zawsze dzwony ze swych kościołów; emigrują zbiorowo, zachowując łączność według dotychczasowych parafij i tam, gdzie znajdują schronienie, miejsca swego wygnańczego pobytu nazywają takimi nazwami jak Święty Józef z Phat Diem, Najświętsza Rodzina z Hanoi. Pierwszą ich troską jest budowa tymczasowej kaplicy, przed którą zawieszają przywieziony dzwon. Katolicy ci uciekają, by zachować jedną rzecz: swą wiarę i by mieć możność przekazania jej swym dzieciom. Cierpią w ciszy dla Boga, wiedząc czy nie wiedząc o tym, o czym marzyła św. Teresa od Dzieciątka Jezus, pisząc w IX rozdziale „Dziejów duszy" o Karmelu w Hanoi: „Marzę o klasztorze, gdzie byłabym nieznana, gdzie musiałabym znosić wygnanie serca... by wypełnić wolę Bożą i poświęcić się dla Niego..."

Także i w tym wypadku komuniści starają się przeinaczyć prawdę im niewygodną i spotwarzają wychodźców. Ho Ci Min i jego poplecznicy twierdzą w swej propagandzie, że katolicy opuszczają swoje siedziby, ponieważ wmówiono w nich, że Matka Boska opuciła ziemie zajęte przez komunistów, albo ponieważ obawiają się atomowych bomb amerykańskich, jakie mają spaść na Tonkin, albo ponieważ skuszeni zostali wielkimi nadziejami i obietnicami. Można zrozumieć, że komuniści uciekają się do takich przeinaczeń prawdy — pisze „Osservatore Romano" — ale nie można zrozumieć, że nie-komuniści wyławiają te same motywy z szumowin kłamliwej propagandy. Na przykład „France Observateur" powtórzył kłamstwa propagandy Ho Ci Min, które łatwo zbić, wskazując na następujące fakty: 1) katolicy Vietnamu już w przeszłości dali dowody heroicznej tężyzny w wyznawaniu swej wiary aż do przelania za nią krwi; 2) religijność ich jest zbyt głęboka i świadoma, by dała się wziąć na lep „pobożnych" kłamstw o opuszczeniu północnego Vietnamu przez Matkę Boską; 3) wygnańcy opuszczają to, co posiadają, idąc na niepewne.

W zakończeniu artykułu „Osservatore Romano" stwierdza, powołując się na przytoczone słowa św. Teresy, że chodzi tu o wygnanie serca, które ożywione jest przez pewność prawdziwej ojczyzny.

CZECHOSŁOWACJA

Kampanii komunistów w Czechosłowacji, obliczonej na obałamucenie opinii na Zachodzie, poświęcił „Osservatore Romano" dwa artykuły wstępne, jeden w numerze z 1 grudnia 1954 r. pt. „Sens apelu", drugi w numerze z 20 lutego br. pt. „Apele z Czechosłowacji".

W listopadzie roku ubiegłego we Francji, Niemczech i Włoszech, a zapewne i w innych krajach, biskupi otrzymali, a obecnie i proboszczowie we Włoszech otrzymują, okólniki zaopatrzone w facsimile podpisów 6 czechosłowackich ordynariuszów i 12 księży w imieniu kapituł kanonicznych i innych instytucji kościelnych. Autorzy dokumentu oświadczają przede wszystkim, że są wierni Stolicy Apostolskiej i nauce Świętej Matki Kościoła, a następnie zwracają się o pomoc przeciw militaryzmowi odradzającemu się w Niemczech zachodnich i przeciw uzbrajaniu się po zęby Zachodu zagrażającego w ten sposób narodom Europy wschodniej. Dokument kończy się wezwaniem do Boga i do Królowej Pokoju i to słowami wyjętymi z inwokacji Piusa XII na Rok Maryjny.

Wobec tego dokumentu obydwa artykuły „Osservatore Romano" wykazują, że Kościół w Czechosłowacji, jak i w innych krajach „demokracji ludowej" pozostaje w kajdanach, czego nie potrafi zatuszować żadna propaganda. Republika Czechosłowacka liczy dwie stolice arcybiskupie, dziesięć biskupich i dwie administracje apostolskie. Z 19 biskupów 5 tylko cieszy się pozorami wolności. Według intencji i ducha prawodawstwa z roku 1949, duchowni winny być jedynie ramieniem kościelnego reżymiu ateistyczno-komunistycznego.

Wobec takiego stanu rzeczy twórcy apelu powinni wiedzieć, że będzie im można uwierzyć pod jednym warunkiem, mianowicie, że ich apele poprzedzi rzeczywiste uwolnienie Kościoła w Czechosłowacji z kajdan i wyraźne uznanie, że religia Chrystusowa, która cementuje miłością braterstwo ludzkie, jest jedyną prawdziwą siłą, która umacniając się w świecie przez działanie człowieka, może zagwarantować pokój. Jeśli zaś tym apelom brak tego warunku, wówczas kampania „pacyfistyczna", stwierdzona podpisami nie wolnymi, jest wyrazem nie pokoju, lecz ucisku.

LITWA

W artykule wstępnym w numerze z dnia 11 marca br. pt. „Posłannictwo pokoju" „Osservatore Romano" omawia apel w sprawie pokoju nadany przez radio moskiewskie 4 marca i pochodzący jakoby od przedstawicieli Kościoła katolickiego na Litwie, a będący odgłosem ostatniego apelu „Światowej Rady Pokoju". Radio moskiewskie nadało apel ten w języku włoskim, podając, że został on podpisany przez trzech biskupów litewskich. „Osservatore Romano" podaje w wątpliwość autentyczność podpisów i stwierdza, że na Litwie pozostał tylko jeden biskup, 80-letni Kazimiesz Paltarokas z Panevezys. Z racji tego apelu dziennik watykański przypomina, że na Litwie trwa także prześladowanie religijne. 56 % duchowieństwa katolickiego znikło już w roku 1946, zakony i zgromadzenia zakonne rozpędzono, nabożeństwa teoretycznie dozwolone przez konstytucję obłożono wygórowanym podatkiem, szkoły katolickie zniszczono, wielką część kościołów zabrano i przeznaczono na inny użytek. Obecnie gnębiciele uznali za wskazane, by z tej dramatycznej sceny prześladowania podniósł się głos Kościoła katolickiego na Litwie popierający „Radę zwolenników pokoju" i ich deklarację wiedeńską. Reżymy komunistyczne walczą przeciw Kościołowi na każdym polu, religia uważana jest za opium ludu, ale gdy wydaje się to potrzebne, wówczas powołują się na słowa Ewangelii, głosząc je tam, gdzie stale wyszydza się Chrystusa.

Artykuł pisma watykańskiego stwierdza, że dla „zwolenników pokoju", twórców apelu wiedeńskiego, pokój polega na ugięciu się świata przed wolą Moskwy i to miałby być jedynie pokój sprawiedliwy i prawdziwy. Oczywiście, taki pokój nie ma nic wspólnego z pokojem chrześcijańskim, z owym pokojem porządku, który jest możliwy tylko wtedy, jeśli uznaje się porządek naturalny, ważny dla wszystkich i przez wszystkich przyjmowany. Kościół katolicki, zarówno w ucisku, jak i na wolności, opowiada się za tym prawdziwym pokojem, który został obiecany w Betlejem ludziom dobrej woli.

TEATR ANGIELSKI

„KRÓL HENRYK IV"

Powyższy tytuł obejmuje dwie sztuki Szekspira, stanowiące właściwie jedną całość. Obie wystawiono w Old Vic na zakończenie sezonu.

King Henry the Fourth (1597-8) ukazuje nam starych znajomych z **Ryszarda II**, ale koncepcja dramatyczna jest trochę inna. Szekspir kontynuuje swój cykl historyczny, wysnuty z dziejów Anglii w XIV-XV wieku, doprowadzając w tych ostatnich (wraz z **Henrykiem V**) sztukach ten rodzaj dramatycznej twórczości do perfekcji. O ile **Henryk VI** miał charakter kronikarski, a **Ryszard II** zbliżał się w osobie głównego bohatera do tragedii, w **Henryku IV** nastąpiło zespolenie historii z fikcją poprzez komedię, która zawiera się w ubocznym wątku i postaci Falstaffa, ale przenika też wątek historyczny. Nie korzystał w tym Szekspir z żadnych wzorów, lecz samodzielnie odkrył nową koncepcję historycznego dramatu. Wątek historyczny, dotyczący zaburzeń i rebelii przeciw królowi, dostarcza głównych zrębów akcji, a zarazem stanowi subtelny komentarz na temat lojalności i skutków jej braku dla jednostek oraz społeczeństw. Uboczny wątek komiczny zawiera satyrę na metody walki i na świat wielkiej polityki, a jest ściśle zespolony z wątkiem głównym przez osobę Księcia Walii (późniejszego Henryka V), który w obu wątkach odgrywa rolę pierwszorzędną.

Charaktery w **Henryku IV** zarysowane są z wielką wnikliwością i świetnie zbalansowane, co dowodzi, że geniusz ich twórcy osiągnął w tym okresie pełną dojrzałość. Główny konflikt zawiera się w przeciwstawieniu charakterów: ks. Walii oraz wodza rebelii Hotspura (syna hr. Northumbrii). Sympatia poety (i widza) rozłożona jest między nich równomiernie: obaj stanowią uosobienie męstwa, rycerskości i animuszu, a przy tym (co było bardzo szczęśliwym pociągnięciem ze strony poety) odznaczają się poczuciem humoru i bynajmniej nie są pompatyczni. (W pewnym sensie dramat ten jest satyrą na pompatyczność!) Oczywiście Hotspur ginie na końcu części I. W części II nadal istnieje wątek rebelii, kierowanej tym razem przez arcybiskupa Jorku, ale na pierwszy plan wychodzą stosunki ks. Henryka z ojcem, królem Henrykiem IV, które zresztą grały też dużą rolę w cz. I. Wnoszą one ludzki element do szerszego tła wydarzeń, a zarazem nowe przeciwstawienie charakterów. Stary król, nękany chorobą, rebeliami poddanych, a po trosze i wyrzutami sumienia, jako że do tronu doszedł nie najczystszą drogą (po zdetronizowaniu Ryszarda II, do którego śmierci następnie dopuścił), ma jeszcze kłopoty familijne z synem. Dzielny ten młodzieniec popadł w złe towarzystwo: hula i rozbija się po karczmach z Falstaffem i innymi zawadiakami. (Ten właśnie element wykorzystał Słowacki w **Krakusie.**) Jak można się domyślić, książę okazuje się nicponiem pozornym: rehabilituje się na polu walki i odrzuca zupełnie dawny styl życia po wejściu na tron. Sceny z tym związane (jak rozmowa księcia z umierającym królem, czy skazanie Falstaffa na banicję „dopóki się nie poprawi") należą do najpiękniejszych miejsc w części II.

Osoba Falstaffa nie tylko wybija się na czoło w tej sztuce, ale należy do największych postaci w całym szekspirowskim repertuarze. Przez wielu krytyków Falstaff stawiany jest obok Hamleta jako największy twór Szekspira. Poeta sam osnuł wokół Falstaffa także komedię **Wesołe kumoszki z Windsoru**, a od tego czasu gruby rycerz stał się bohaterem wielkiej ilości utworów literackich i muzycznych, oraz spotkał się z szeregiem naśladowców (żeby wymienić tylko sienkiewiczowskiego Zagłobę). Oczywiście Falstaff **z Wesołych kumoszek** to niezupełnie ta sama postać, co Falstaff **z Henryka IV**. A zresztą Falstaff rozwija się — „rośnie" — w miarę rozwoju sztuki i w części II jest kim innym niż w pierszej. Z pozoru bufon i komiczna osóbka, jest on w gruncie rzeczy zawiłą personą. Posiada całkiem skonkretyzowaną, cyniczną filozofię, która przeciwstawiona jest szumnej retoryce Hotspura i majestatowi dziejowych wydarzeń, w które Falstaff jest wpleciony. Uwidacznia się to świetnie w jego monologu o honorze (I, v, 1), gdzie demaskuje bożyszcze honoru jako pojęcie słowa, które nie wynagrodzi bólu, straconej nogi, czy ręki, czy... życia. Falstaff właśnie czyni tę sztukę satyrą na niemądre choć pyszne machinacje wodzów, których wynikiem są bezsensowne wojny. Owszem Falstaff po to istnieje, żeby się z niego śmiać, ale pod powierzchnią śmiechu jest głębia. Zwłaszcza w cz. II urasta on jakby do symbolu zmarnowanych zdolności. Śmiech jest w nim uczuciem dominującym, ale przez śmiech przeziera cała gama wrażeń — od filozoficznych refleksji do łez.

Ta komedia-historia (jakby można określić **Henryka IV**) należy do niewątpliwych arcydzieł Szekspira. Zawdzięczać to trzeba udanej konstrukcji, celnemu językowi, świetnemu wyczuciu humoru (od „szerokiej komedii" scen w karczmie do subtelnego komizmu scen historycznych, a nade wszystko bystremu spojrzeniu rzeźbiarza dusz, doskonałej budowie charakterów, zwłaszcza ks. Henryka, Hotspura, starego króla i Falstaffa.

*

Old Vic wystawiło **Henryka IV** z rozmachem, ale bez dbałości o artyzm i subtelność. Inscenizacja jest hałaśliwa, dominującym wrażeniem jest wrzawa i bieganina. Scenę rabunku (I, ii, 2) zagrano zgrabnie. Nie było natomiast szczęśliwym pomysłem urządzenie na scenie wielkiej bitwy (cz. I, akt v) z hukiem dział i wrzaskliwą kotłowaniną. Przed stu laty wszystko to bardzo by się podobało publiczności z galerii i tzw. pit, ale dziś — po tylu hollywoodzkich spektaklach — efekty te nie zachwycają nawet szkolnych dzieci, których sporo widać na przedstawieniach cz. I, należącej do obowiązkowej lektury. Trzeba jednakże stwierdzić — jeśli już mowa o scenie bitwy — że pojedynek ks. Henryka z Hotspurem (zaaranżowany przez Bernarda Heptona i Johna Greenwooda) przedstawiony był znakomicie. Realizm tej sceny sprawił duże wrażenie. Nie było tu łatwizny w stylu Errol Flynna, ale zmaganie, które publiczność tak chyba wyczerpało jak aktorów i wiązało się dobrze z koncepcją Szekspira, patrzącego na te walki bynajmniej nie przez romantyczne szkła.

O ile przyjęta koncepcja inscenizacyjna niezupełnie mi odpowiada, przyznać trzeba, że w ramach tej koncepcji reżyser Douglas Seale postępował konsekwentnie i spisał się na ogół dobrze. Operowanie poszczególnymi aktorami i tłumami było zgrabne, widać było plan wiążący poszczególne elementy w całość. Początki i zakończenia scen były stylowymi, czasem udanymi żywymi obrazami. Do szczególnie udanych inscenizacyjnie i aktorsko miejsc zaliczyłbym w obu częściach sceny w karczmie, w części I scenę pojedynku, w części II scenę poboru rekrutów, scenę ujęcia wodzów rebelii i rozmowę umierającego króla z synem. Wrażenie byłoby większe, gdyby dekoracja — projektowana (podobnie jak i kostiumy) przez Audrey Cruddas — była bardziej elastyczna w swych możliwościach; ogromne schody w centrum sceny i niezgrabne rusztowania czasem krępowały akcję. Trzeba dodać, że była to jedyna dekoracja, a stosowane zmiany szczegółów były tak nieznaczne, że nieraz nie można było poznać, czy po scenie w zamku królewskim już jesteśmy w karczmie, czy też Falstaff odbywa swoją pijatykę w zamku (takie wrażenie mieliśmy w I, i, 2). Jeszcze jeden minus miała ta dekoracja: o ile można było uwierzyć w te wszystkie zabudowania w scenach odbywających się wewnątrz budynków, o tyle były one absurdalne w scenach plenerowych (np. bitwa na schodach i rusztowaniach wyglądała śmiesznie). Wreszcie zauważyć trzeba, że (nie pierwszy raz w tym sezonie) inscenizacja była zbyt ciemna. Efekty świetlne były czasem całkiem udane, ale zdarzały się dziwaczne pogmatwania w operowaniu światłami. Kostiumy nierówne, lepsze zresztą w cz. II. Kolorystycznie nie były nadzwyczajne, niektóre nie były nawet w stylu epoki. Rzucały się natomiast w oczy ładne szamerowania i zdobnicze desenie.

Aktorsko **Henryk IV** był przedsięwzięciem udanym. Obie sztuki dają zresztą wiele możliwości pod tym względem, zarówno w głównych jak i drobniejszych rolach. Jako Falstaff Paul Rogers stworzył bogatą i kompletną osobowość, unikając typowości i łatwych efektów (poza paroma miejscami). Przekonywująco oddał przemianę postaci Falstaffa w cz. II bez naruszenia jedności charakteru, wydobywając tkwiący głęboko pod komizmem tragizm tej roli.

John Neville dał w cz. I świetną kreację jako Hotspur, zupełnie odmienną od dotychczasowych. Męski, rezolutny, czuły, gdy potrzeba, w udany sposób wydobył zarówno patos jak i humor oraz ironię tej roli, w której czuł się bardzo dobrze. W cz. II Neville zagrał z nieprzeciętną brawurą charakterystyczną rolę Pistola. Aktor ten znakomicie się rozwija i gra jego w **Heryku IV** była ukoronowaniem jego osiągnięć w tym sezonie.

Robert Hardy włożył wiele przemyślanego wysiłku w rolę ks. Henryka i odniósł największy dotąd sukces swej kariery w Old Vic. Grał żywo i swobodnie, szczególnie zabłysnął we wspaniałej scenie z umierającym królem. Co więcej, subtelne efekty uzyskał w scenach z Falstaffem i nie był w nich zaćmiony przez grubasa, co nie było rzeczą łatwą. Zbyt długo trzymano tego aktora pod korcem.

Eric Porter był niezły jako król; czasem może trochę monotonny, ale trzeba przyznać, że jego rola, choć tytułowa, nie jest w gruncie rzeczy zbyt wdzięczna. W swych „wielkich" scenach Porter stanął w pełni na poziomie.

Gra reszty licznego zespołu (40 osób) wahała się między doskonałą a ledwie kompetentną; szokujących niedociągnięć nie było. Paule Daneman zagrał godnie rolę hr. Worcester w cz. I., a w cz. II. osiągnął wielki sukces i poklask publiczności w charakterystycznej rólce sędziego Shallow. Niezły był Ronald Fraser jako Bardolph. Panie miały w **Henryku IV** bardzo ograniczone możliwości, z wyjątkiem Mistress Quickly, z temperamentem odegraną przez Rachel Roberts. Ann Todd jako Lady Percy i Virginia McKenna jako Lady Mortimer odegrały wdzięcznie swe drobne role.

W sumie inscenizację **Henryka IV** należy uznać za „funkcjonalnie" udaną. Jako całość nie jest wydarzeniem artystycznym, choć ma świetne fragmenty. Dobrze grana i kompetentnie reżyserowana, ujmy arcydziełu szekspirowskiemu nie przynosi.

Na **Henryku IV** dobiega końca bieżący sezon Old Vic 1954/5 i drugi z kolei rok z cyklu inscenizacji wszystkich sztuk Szekspira, obliczonym na lat pięć.*) Poziom Old Vic w tym sezonie był raczej średni, rzemieślnicza kompetencja przeważała nad artyzmem. Największym osiągnięciem była **Jak się wam podoba**(2) w reżyserii Roberta Helpmanna. Nieźle wypadły także pozostałe dwie komedie: **Poskromnienie złośnicy**(3) reż. Denis Carey i **Stracone zachody miłosne**(4) reż. Frith Banbury. Jeśli chodzi o sztuki historyczne tego sezonu, **Henryk IV** był zrobiony kompetentnie, natomiast **Ryszard II**(5) (reż. Michael Benthall) wypadł słabo. Najsłabszą pozycją sezonu była jedyna tragedia **Makbet**(6) (także w reżyserii Benthalla). Sezon przyniósł jednak duży sukces aktorski dla Johna Neville'a (Ryszard II, Hotspur, Berowne, Orlando, Pistol), spore osiągnięcia dla Paul Rogersa (Falstaff, Petrukio, Touchstone, Makbet, Don Adriano) i ukazał możliwości takich aktorów jak Eric Portman, Virginia McKenna, Paul Daneman, Robert Hardy. Wyglądamy nowego sezonu Old Vic na jesieni, w nowej obsadzie, z nadzieją na poprawę ogólnego poziomu, aby przyjemność, jaką odnosimy ze sztuk Szekspira była spotęgowana w większym niż obecnie stopniu przez talent i pracę ludzi teatru.

Bolesław Taborski

(1) Poprzedni sezon 1953/4 został omówiony w ŻYCIU; nry: 8/348, 11/351, 15/355 i 21/361.
(2) Patrz ŻYCIE nr 17/409.
(3) Patrz ŻYCIE nr 1/393.
(4) Patrz ŻYCIE nr 46/386.
(5) Patrz ŻYCIE nr 8/400.
(6) Patrz ŻYCIE nr 43/383.

TADEUSZ GAJCY

ŻEGNAJĄC SIĘ Z MATKĄ

(Z poezji Polski Podziemnej)

Jak do Ciebie będę pisał
pochylony nad sobą w żalu.
Serce chłodne świeci jak kryształ ,
i choć wczoraj się z Tobą rozstałem,
jak Ci słowo do dłoni podam
badający uparcie ciemność,
skoro mówisz: ciałem człowieczym
trzeba schodzić nisko, najniżej,
bo radosna w locie tym wieczność
jest kołyską zrodzoną na krzyżu.
Jak Ci sercem odpowiem jak źródłem
wykuty głosem śpiewnym,
kiedy tłum przerażonych jaskółek
niosę po ręce lewej,
jak mych ust niewyczutych graniem
mam zawołać bohaterski i bliski,
gdy po mej ręce prawej
drży ojczyzny pogięta kołyska
i piosenka wieczorna leży
jak owocu zniszczone grono,
dalej niebo, dom mój i księżyc
opuszczony jak Ty i młodość.

F I L M

FILM NIEMIECKI PO WOJNIE

Film niemiecki powoli dźwiga się z upadku, w jaki wtrącił go okres panowania hitlerowskiego, wojna i pierwsze ciężkie gospodarczo lata powojenne. Do tej pory nie można jeszcze mówić w tej dziedzinie o jakiejś „szkole" czy stylu niemieckim, który dorównywałby czy to okresowi ekspresjonizmu (kiedy m. in. powstał „Gabinet doktora Caligari" oraz „Trzy światła"), czy też tzw. „Kammerspiele" („Noc Sylwestrowa", „Ulica" i inne obrazy). Nie można jeszcze też mówić o twórcach i reżyserach tej miary, co Pabst czy Lang, którzy pojawili się z narodzinami filmu mówionego.

O obecnym stanie twórczości filmowej w Niemczech pisze współpracownik paryskiego „Le Monde" Jean de Baroncelli, który sprawą tą zajął się w czasie międzynarodowego zjazdu w Wiesbadenie, gdzie przedstawiciele różnych krajów po tej stronie żelaznej kurtyny postanowili powołać do życia międzynarodową konfederację twórczości filmowej artystycznej i krótkometrażowej. Celem tej organizacji jest zapewnienie wyświetlania w specjalnych salach filmów, których eksploatacja na zasadach handlowych nasuwa trudności.

Letarg, w jaki film niemiecki popadł, trwał po wojnie dosyć długo; filmy, eksportowane przez Niemców za granicę, obracały się przeważnie w granicach komedii muzycznej — i to nie pierwszej jakości. W tej jałowiźnie wybiły się jednak do pewnego stopnia dwa nazwiska: Helmuta Kautnera i Wolfganga Staudte. Staudte pracuje w strefie sowieckiej i jest twórcą obrazu „Podmiot", opartego o powieść Heinricha Manna. Kautner, czynny w Republice Związkowej i w Austrii, zdobył sobie rozgłos filmem „Ostatni most", wyprodukowanym w Austrii (główną w nim rolę gra Szwajcarka Maria Schell).

W ciągu roku 1954 „nakręcono" w Republice Związkowej ogółem 103 filmy, w tym 24 obrazy stworzone wspólnie z przedsiębiorstwami filmowymi innych krajów (Francji, Włoch, Stanów Zjednoczonych, Jugosławii i Hiszpanii). Cyfra ta oznacza wzrost produkcji filmowej o 30 % w ciągu ostatnich dwóch lat. W tymże roku 1954 produkcja filmowa Francji wynosiła ogółem 67 filmów, była więc liczebnie niższa. Nie należy jednak ulegać sugestii tych cyfr, gdyż duża część owych 103 filmów zachodnio-niemieckich, to rzeczy, stworzone bardzo małym kosztem, bez cienia pretensji artystycznych, przeznaczone na „konsumpcję lokalną".

W Niemczech Zachodnich istnieje obecnie 5.200 kinoteatrów i, jak wykazuje statystyka, każdy Niemiec uczęszcza do kinematografu średnio 14 razy na rok (we Francji odnośna cyfra wynosi 8,4). W owych 5,200 kinematografach wyświetlanych było w r. 1954 około 500 filmów, w czym 103 niemieckie, 250 amerykańskich, około 50 francuskich; mniejsze ilości przypadają na filmy włoskie i angielskie. Wśród filmów francuskich największe powodzenie miał w ostatnim okresie „Don Camillo".

Za jeden z najwybitniejszych obrazów najnowszej produkcji niemieckiej Baroncelli uważa „08/15" — obraz stworzony przez Paula Maya. Treść obrazu zaczerpnięta jest z powieści Hansa Hellmuta Kirsta. Jest to satyra na militaryzm pruski, przypominająca pod tym względem znaną po pierwszej wojnie światowej powieść Remarque'a „Na Zachodzie nic nowego". Baroncelli spotkał jednak Niemców, którzy twierdzili, że antymilitarystyczny duch powieści Kirsta został w filmie zniekształcony; poza tym w wielu miastach niemieckich wyświetlana jest wersja obcięta, która filmowi nadaje charakter jeszcze mniej antymilitarystyczny.

Oba wspomniane wyżej filmy niemieckie: „Ostatni most" oraz „08/15" są dziełami odosobnionymi, nie mającymi związku z wytwarzaniem się jakiejś nowej szkoły filmowej w Niemczech.

Komedię muzyczne straciły swą dawną popularność, ale nie widać, by miejsce ich zajęła dobra twórczość realistyczna. Natomiast — notuje Baroncelli — Niemcy odzyskują w szybkim tempie poczucie swej ważności historycznej i w robocie jest duża ilość filmów, sławiących niemiecki geniusz narodowy. Obrazy te poświęcone są życiu i twórczości wybitnych niemieckich uczonych, przemysłowców i polityków — między innymi, rzecz charakterystyczna, Stresemanna. W podobnym duchu ujęty został zresztą wyświetlany już film o admirale Canarisie.

Na odbywający się obecnie festiwal filmowy w Cannes Niemcy wysłali przede wszystkim film „Ludwik II", stworzony przez Kautnera. Być może, że jest to najwybitniejsze, jak dotąd, dzieło powojennej kinematografii niemieckiej.

Co się tyczy pomocy państwa dla wytwórczości filmowej, to polega ona na gwarancji dla filmów deficytowych. Doświadczenia jednak w tym zakresie są niezachęcające: Bawaria straciła tą drogą 20 milionów marek i dlatego poszukuje się innych form pomocy.

Między Republiką Związkową a strefą sowiecką nie ma żadnego kontaktu w dziedzinie produkcji filmowej. Zawodowi filmowcy nie byliby przeciwni „koprodukcji", ale rząd w Bonn przeciwstawia się temu kategorycznie .

S. N.

KSIĄŻKI

„ZDOBYCIE WŁADZY"

Powieść Czesława Miłosza „Zdobycie władzy"*) możnaby ocenić jako równocześnie wybitną i słabą: wybitną problematycznie, słabą literacko. Przy tym, dość paradoksalnie, słabość literacka powieści Miłosza wynika z jego nieprzeciętnej kultury literackiej. Miłosz zbyt wiele przeczytał, zbyt wiele literatury przeżył i przemyślał, tak że w końcu nabrał do niej pogardy. „Zdobycie władzy" jest powieścią napisaną z pogardą dla formy literackiej albo ściślej: jest nie całkiem udałą próbą stworzenia, na wzór zachodni, polskiej powieści intelektualnej, oczyszczonej z pięknosłowia.

Piśmiennictwo zachodnie, a w pierwszym rzędzie francuskie i anglo-amerykańskie, zarówno w prozie jak w poezji przejawia mniej więcej od lat ostatniej wojny, a zwłaszcza powojennych, dążność do znalezienia wyrazu na miarę czasu. Ogrom przeobrażeń materialnych i duchowych, rozwój nauk i techniki, piekło zbrodni i namiętności, powszechne ożywienie idej społecznych, wizje i utopie przyszłego świata nie pozwalają już literaturze pięknej na osamotnienie w wieżach z kości słoniowej. Przeciwnie, literatura kroczy w awangardzie lub też jawi się na barykadach rozbudzonych mas. Podjęła się roli pionierki idej lub zadania braci Horacjuszów. Obie te role zmuszają do natężenia umysłu w starciu idej, do doskonałego rozumienia istoty wszechludzkiego poruszenia oraz do udziału w nim. I to zaangażowanie literatury sprawiło właśnie, że dąży ona do wyrażenia właściwym słowem ciężaru czasu. Słowo piękne musi być przede wszystkim proste i treściwe, a równocześnie ważkie i rozumne.

Trudno nie dostrzec, że nasze czasy przynoszą ogromną zmianę, żeby nie powiedzieć rewolucję, w pojmowaniu przeznaczenia, a z nim i formy literatury. Niezbyt wiele znaków tego prądu czasu znać na gładkiej tafli polskiego piśmiennictwa. Czesław Miłosz jest jednym z nielicznych wyjątków, jako poeta i jako prozaik.

Cóż to jest literatura piękna? Możnaby ją nazwać poszukiwaniem właściwego wyrazu na określenie świata stworzonego przez Boga i tworzonego przez ludzi. Sztuka pisarska, to dążenie do pełni odczuwań zmysłowych i do doskonałości władania umysłem, celem nazwania wszystkich rzeczy i wszystkich spraw właściwym słowem. Literatura aż po nasze czasy trudziła się szerokimi i pięknymi opisami powierzchni świata i wydarzeń. Literatura rodząca się w naszej epoce redukuje do koniecznego minimum tę powierzchnię usiłując dotrzeć do ukrytych motorów czy mechanizmu przyrody i człowieka. Fantazja straciła cenę w literaturze. Mówiąc językiem ekonomicznym, w piśmiennictwie parytet fantazji wymieniono na parytet rzeczywistości. Rzeczywistość jest daleko ciekawsza i cenniejszą od fantazji. Rzeczą literatury stało się objaśniać rzeczywistość.

Dawna literatura nie schodząc w głąb zdobiła powierzchnię coraz to wymyślniejszymi esami-floresami, zapamiętała w tych swoich sztukateriach, fioriturach, polerowaniach. Przesuwanie końca powieści na jej początek i inne podobne sztuczki uchodziły za niezwykłą technikę. Oryginalność za wszelką cenę była miernikiem wartości pisarskiej.

Kiedy zaś pomysłowość techniczna zdawała się sięgać kresu, przystąpiono z zapałem do deformacji i surrealizmu. Dziś właśnie deformacja (i to we wszystkich rodzajach sztuki) uchodzi za najnowszą zdobycz artystyczną.

Ale, jak się już rzekło, brzemię czasów skruszyło i kruszy nieuchronnie te pięknostki i dziwnostki.

Jakże pięknie i celnie obrazuje Tadeusz Różewicz kontrast dwu literackich epok w wierszu „Drzewo":

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci:
świat był jak drzewo,
a oni jak dzieci.

Cóż ci powieszę
na gałęzi drzewa,
na które spadła
żelazna ulewa?

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci:
dokoła drzewa
tańczyli jak dzieci.

Cóż ci powieszę
na gałęzi drzewa,
które spłonęło,
które nie zaśpiewa?

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci:
pod liściem dębu
tworzyli jak dzieci.

A nasze drzewo
w nocy zaskrzypiało
i zwisło na nim
pogardzone ciało.

(„Twórczość" z. 2 r. XI)

(Był zwyczaj, że poeci zawieszali na drzewach swe wiersze i pieśni miłosne, przeznaczone dla ukochanej.)

Przed pisarzami otwarło się ogromne zagadnienie: jak najwłaściwiej wyrazić rzeczywistość? Drobiazgowe rejestrowanie szczegółów na powierzchni świata i wydarzeń, a więc reportaż, okazał się niezłym, ale ograniczonym narzędziem. Dla tłumaczenia zjawisk duchowych reportaż i technika reportażowa okazały się zupełnie nieprzydatne. Hemingway wspaniale opisał **powierzchnię** wojny domowej w Hiszpanii, ale nie powiedział nic o jej ukrytych motorach. Nieludzki świat łagrów i więzień brunatnych i czerwonych przedstawiło wstrząsająco niejedno pióro, ale zawsze tylko od ich powierzchni, opisowo. Pierwszy bodaj Koestler odkrył nową drogę, dając początek powieści dialektycznej.

To określenie jest z pewnością mylne niedokładne. Dialektykę zwykłe i niesłusznie utożsamia się z metodą tzw. dialektycznych materialistów i z ich postulowaną literaturą realistyczną. W rzeczywistości cała ludzka działalność jest dialektyczna, chociaż prowadzi do całkiem niedialektycznych wniosków albo też — bo i tak bywa — nie prowadzi do żadnych, co też jest niezgodne z postulatami dialektyki materialistycznej.

„Zdobycie władzy" jest właśnie przykładem powieści dialektycznej, która nie prowadzi do żadnych wniosków. Porównywano ją z tragedią grecką. Niesłusznie, bo w tragedii antycznej człowiek znajdował się w uścisku nieodwracalnego losu, a w powieści Miłosza pętlę na jego duszy i ciele zaciska inny człowiek, nie los, a nic co ludzkie nie jest nieodwracalne.

Miłosz ze zdumiewającą pokorą, żeby nie rzec z nabożeństwem, traktuje tzw. Nową Wiarę, którą marksiści nazywają nieodwracalnością przemian społecznych. „Nowa Wiara" wspiera się na dwu głównie herezjach: na determinizmie ludzkich dziejów i na kolektywizmie. Miłosz jest, niestety, zaangażowany całym sercem w tej wierze właśnie poprzez niewzruszone przekonanie o determinizmie czyli nieodwracalności ery dialektycznego materializmu i o kolektywizmie czyli o prymacie społeczeństwa przed ludzką osobą. Dialektyka Miłosza polega na rozmowach ze samym sobą, a nie z kierunkami materializmowi przeciwnymi. Duszą jest zaangażowany po tamtej stronie i nie rozumie sam siebie, dlaczego nie może „Nowej Wiary" przyjąć bez zastrzeżeń. Wedle niego i po tej stronie świata brak wolności, nie tyle „od czego", co „do czego". Ale tam — poza brakiem wolności — jest wszystko, na co się serdecznie dusza Miłoszowa pisze.

Trudno egzorcyzmować złego ducha z duszy Miłosza i wydawać o nim wyrok, gdyż istotą człowieczeństwa pojmowanego po chrześcijańsku jest wolność woli. Wiarę tę zaś zdobywa się tylko własną drogą. Rzecz pewna, że Miłosz wszedł w głąb spraw nurtujących epokę i że jest to jeden z niewielu zamyślonych nad wymową czasu pisarzy współczesnych. Dlatego książki i wiersze Miłosza są na Zachodzie świata czytelne i pociągające.

Lecz przejął się on tak do głębi problematyką współczesności, że to zwichnęło artystycznie powieść „Zdobycie władzy". Rzecz to napisana pośpiesznie, jednym tchem, z gorączką, z przesadzonym lekceważeniem formy. (Prostota formy jest największą ze sztuk.) Wątpić można, aby ktoś zapragnął przeczytać „Zdobycie władzy" po raz drugi. To nie jest dzieło ukończone, lecz szkic powieściowy, zbiór obrazów. Pióro poetyckie nie daje sobie rady z konstrukcją powieściową: zbyt pośpiesznie zmierza do puenty, lubuje się w skrótach i zbyt zagęszczonych alegoriach.

Doskonale rozumiem, że czytelnik niewiele się z tego omówienia dowie o treści książki Miłosza. Jest to jednakże dzieło niestreszczalne. Autor napisał je ze zwięzłością wykluczającą dalsze skróty, tym bardziej, że ciężar powieści spoczywa na dialektyce. Ale tyle w niej treści, że możnaby o „Zdobyciu władzy" napisać nową książkę.

Powieść Miłosza nazwałbym krzykiem w ciemności albo rozpaczliwym pytaniem o drogę. Niegodziwie jest krzyk uciszać pięścią, a na rozpacz odpowiadać milczeniem. Trzeba dać odpowiedź.

Jan Bielatowicz

***) Czesław Miłosz ZDOBYCIE WŁADZY. Instytut Literacki, „Biblioteka Kultury" tom IX. Paryż 1955. Str. 160.** Druk bardzo piękną czcionką, poprawny, korekta amatorska.

BIBLIOGRAFIA

WITAJ KRÓLOWO. Nabożeństwo do Matki Bożej. Za zezwoleniem władzy duchownej. Kat. Ośrodek Wyd. Veritas, Londyn 1955. Stron 72, szesnastka, okładka kartonowa ilustr., ilustracje w tekście.

Stanisław Kościałkowski HISTORYKA. Wstęp do studiów historycznych. Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Londyn 1954. Stron 168.

Ferdynand Goetel CZASY WOJNY. Tom XVI serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. Veritas, Londyn 1955. Stron 278, okładka płócienna, obwoluta proj. Edmunda Czarnowskiego.

Władysław St. Reymont Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ. PIELGRZYMKA DO JASNEJ GÓRY. Tom XVII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakładem Kat. Ośrodek Wyd. Veritas, Londyn 1955. Stron 190.

Melchior Wańkowicz TWORZYWO. Roy Publishers, New York 1954. (Printed in Italy). Stron 434, okładka płócienna z rysunkiem Ireny Lorentowicz.

Józef Bujnowski ODSYŁACZ W BEZSENS. Poezje. Polskie Two Literackie, Londyn 1955. Stron 22.

Polska Macierz Szkolna 3 MAJ 1955. (Materiały do obchodów). Stron 52, rysunki, nuty.

Z. J. Daszewski O FREUDZIE I EINSTEINIE JAKO OSZUSTACH W NAUCE. Perth Amboy, N. J., 1955. Stron 70.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 15 maja 1955

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO DLA PRAC KOMITETU OBCHODU ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

J. E. Ksiądz Arcybiskup J. Gawlina, Opiekun Polskiej Emigracji, nadesłał z Rzymu błogosławieństwo swoje dla prac Komitetu Obchodu Roku Mickiewiczowskiego w Londynie (18 Queens Gate Terrace, London, S.W.7), wyrażając je w słowach następujących:

„Drodzy Panowie,

W odpowiedzi na cenny list Panów udzielam z miłą chęcią błogosławieństwa dla pracy „Komitetu Obchodu Roku Mickiewiczowskiego na Obczyźnie". Przypominając Wieszcza obcym i swoim, pragniecie Panowie słusznie przeciwstawić się anektowaniu Mickiewicza, żarliwego obrońcy ideałów chrześcijańskich, przez bezbożny komunizm. Miło mi zawiadomić Panów, że „Sacrum Poloniae Millennium" w tegorocznym tomie swoim publikuje wytrawną pracę naukową na temat katolicyzmu Mickiewicza.

Z serdecznym błogosławieństwem

X.Józef Gawlina
Opiekun Polskiej Emigracji"

NASZE SPRAWY

OBCY PASZPORT

Jedną z najbardziej palących spraw spornych, zaprzątających myśl emigracji (i każdego emigranta z osobna) oraz będących przedmiotem bezustannych prywatnych i publicznych dyskusji jest niewątpliwie sprawa przyjmowania czy też nieprzyjmowania, obcego obywatelstwa.

Jest to sprawa pod wielu względami podobna do sprawy żenienia się z cudzoziemkami. Postulatem narodowym polskim jest, by się z cudzoziemkami nie żenić; ale musimy sobie zdawać z tego sprawę, że się ludzie żenią i będą żenić, że nie ma na to rady, i że nie trzeba tych ludzi z tego powodu od polskości odtrącać, i że trzeba to traktować jako zło konieczne, z którym musimy się pogodzić i którego ujemne skutki musimy się starać o ile możności łagodzić. Tak samo postulatem narodowym polskim jest, by Polacy nie przyjmowali obcego obywatelstwa: ale musimy sobie z tego zdawać sprawę, że wielu Polaków obce obywatelstwo przyjmuje i jeszcze większa liczba przyjmować je w dalszym ciągu będzie. Ludzie są słabi, podczas gdy trudności jak i pokusy są wielkie — i nie od wszystkich można wymagać postawy heroicznej. I co więcej, nie wszyscy ci ludzie są dla polskości straceni, a nawet poważnie zagrożeni.

Postawa nasza wobec przyjmowania obcego obywatelstwa musi być dokładnie taka sama, jak wobec małżeństw z cudzoziemkami. Odnosimy się do tego bez entuzjazmu; jeżeli możemy, to odradzamy. Ale ani nie możemy tego zabronić, ani nie możemy tego potępić. A przynajmniej nie możemy tego potępić, gdy nie chodzi o osoby, mające szczególniejsze narodowe obowiązki.

Określiwszy to stanowisko podstawowe, chciałbym jednak sprawę obywatelstwa rozpatrzeć nieco szerzej.

Zmiana obywatelstwa nie jest równoznaczna ze zmianą narodowości, to znaczy z wynarodowieniem. Jest to prawda oczywista, na którą się wielu bardzo słusznie powołuje.

Tak jest! Oczywiście! Zmiana przynależności państwowej to nie jest zmiana narodowości. To nie jest zerwanie z polskim narodem. Ale to jednak jest zerwanie z polskim państwem. A przecież państwo polskie — to jest nasz kraj, nasza ojczyzna. Czy naprawdę zerwanie z ojczyzną jest — niczym?

Niektórzy przypominają, że przed pierwszą wojną światową przyjmowanie obcego obywatelstwa nie było zgoła uważane za grzech narodowy. To prawda. Ale przed pierwszą wojną światową nie było polskiego państwa. Jeśli się ktoś zrzekał przynależności państwowej rosyjskiej, niemieckiej, czy austriackiej, a nabywał przynależność amerykańską, francuską, czy szwajcarską, to rzecz prosta trudno było to uważać za grzech z polskiego, narodowego punktu widzenia. Przecież lepiej było zaciągnąć zobowiązania na rzecz Francji, Szwajcarii, czy Ameryki, niż na rzecz państwa zaborczego! Tamto były państwa neutralne wobec nas, lub wręcz przyjazne, a to były państwa wrogie. Ale dzisiaj? Dzisiaj przyjmując obce obywatelstwo zrzekamy się związku z państwem własnym na rzecz państwa obcego. Oczywiście, można się powoływać na to, że państwo polskie jest dziś państwem komunistycznym, a więc państwem tak samo obcym i wrogim. Ale to jest tylko wykręt. Obcy i wrogi jest rząd, siedzący dziś w Warszawie, ale obcym nie jest państwo polskie, to państwo, które ma określone granice i określone miejsce w Europie. Nie chodzi zresztą o zrzeczenie się paszportu Polski komunistycznej: chodzi o zrzeczenie się stanowiska obywatela polskiego, przez większość obcych uważanego za bezpaństwowca.

Przyjęcie obcego obywatelstwa — to jest fakt, który rodzi zobowiązania. Zobowiązania te nie są wcale błahe. Polegają one na wzięciu na siebie ogólnego obowiązku wierności, oraz całego szeregu obowiązków szczegółowych.

Wyobraźmy sobie na przykład wybuch nowej wojny światowej. W jakim mam wojsku służyć, ja, albo mój syn? W polskim wojsku emigracyjnym, czy też w wojsku angielskim, amerykańskim, szwedzkim, szwajcarskim, albo zgoła niemieckim? W drugiej wojnie dziesiątki tysięcy Polaków z Francji, Brazylii, Argentyny, Kanady zasiliły szeregi wojska polskiego. Masowe przyjmowanie obywatelstwa obcego może to w trzeciej wojnie uczynić niemożliwym. Polacy będą się bić tak, jak już się bili na Korei i w Indochinach — ale w obcych szeregach i za obcą sprawę.

Ale wyobraźmy sobie sytuację jeszcze gorszą. Wyobraźmy sobie, że wybuchnie nie wojna światowa, lecz całkiem lokalna wojna czysto polityczna, na przykład polsko-niemiecka wojna o granice. Albo że taka wojna wyłoni się z trzeciego powojnia. Czy mamy pewność, po czyjej stronie będą wtedy sympatie państwa, którego obywatelstwo przyjmujemy? I czy sympatie te nie nałożą na nas jakichś obowiązków, nie koniecznie nawet żołnierskich, które by wobec ojczyzny naszej, Polski, nie były wręcz zdradą?

Poczucie, że odchodząc od polskiej przynależności państwowej czyni się krok, będący pewnym oddaleniem się od związku z ojczyzną, najmniej ostro zaznacza się — w Stanach Zjednoczonych. Istnieje tam kilkomilionowa Polonia amerykańska i Polak, przyjmujący obywatelstwo amerykańskie, automatycznie wchodzi w jej szeregi, stając się Polakiem amerykańskim, a nie po prostu Amerykaninem bez przymiotnika.

By rzecz lepiej uzmysłowić: pamiętajmy o tym, że Francuz, przyjmujący obywatelstwo belgijskie, czy też kanadyjskie, nie porzuca świata francuskiej mowy i kultury, ale bez wszelkiej wątpliwości zrywa z Francją. A dodajmy, że Francuz ten ma pewność, że jego dzieci, wnuki i prawnuki w nowym kraju pozostaną nadal w świecie językowo francuskim, natomiast Polak, naturalizujący się w Ameryce, podobnej pewności co do swoich dzieci nie ma, bo widoki na przechowanie się na zawsze Polonii amerykańskiej na sposób francuszczyzny kanadyjskiej są, łagodnie mówiąc, niepewne.

Wysuwane są czasem argumenty, że mając obce obywatelstwo, możemy mieć w krajach osiedlenia posłów do parlamentu, radnych miejskich itd. i możemy przez to lepiej służyć sprawie polskiej. Argumenty te są jednak w dużym stopniu przesadzone: emigracja powojenna jest zbyt słaba liczebnie na to, by mogła mieć swoich posłów i radnych. Pamiętajmy, że Polaków amerykańskich są miliony, że żyją oni w zwartych skupieniach po paręset tysięcy dusz w jednym miejscu. Pamiętajmy o tym, że polscy koloniści w Brazylii zajmują rozległe obszary wiejskie o niemal czysto polskiej ludności. Nic dziwnego, że mogli opanować samorządy i mogą mieć posłów w parlamentach. Ale my, czy naprawdę moglibyśmy, przyjmując obywatelstwo, wybrać sobie już nie posła do parlamentu brytyjskiego, ale radnego miejskiego na Hammersmith w Londynie? Albo radnego gminnego w najmniejszej wiosce w Szwecji? — Może ten i ów młody, naturalizowany Polak mógłby zrobić karierę samorządową, czy polityczną wśród starej Polonii: w Stanach, w Brazylii, w Argentynie, we Francji. Ale to są wyjątki. I przyczyną takiego wyjątku będą osobiste właściwości danego człowieka, a nie liczba głosów naturalizowanej, świeżej, emigracji, która go poprze. Tak jak osobiste właściwości jednostki mogą sprawić, że ktoś zrobi polityczną karierę w obcym kraju nawet w ogóle nie dzięki głosom polskim, lecz dzięki pozycji, jaką sobie wyrobi osobiście wśród obcych.

Ale nawet gdybyśmy mieli widoki na zdobycie wpływu politycznego w krajach osiedlenia jako ich obywatele, czy doprawdy rzecz jest warta wysiłków? Cóż to jest radny miejski? Cóż to jest nawet poseł do parlamentu? W istocie, wpływy polityczne emigracji sprowadzają się swoimi skutkami tylko do obrony interesów emigracji. Radny miejski w Lens czy w Buffalo może dużo zrobić dla polskich szkół w Lens i w Bufallo, czy dla emigrantów, osiedlających się w tych miastach, ale jego wpływu na losy Polski nie należy przeceniać. W krytycznej chwili, polityk emigracyjny, przemawiający nie w imieniu emigracji, lecz w imieniu polskiego narodu, z pewnością, o ile jest utalentowany, uczciwy, niezależny i obdarzony charakterem, będzie mógł więcej zdziałać dla Polski, niż nawet najbardziej utalentowany i wpływowy poseł do Kongresu Stanów Zjednoczonych. A przecież bardziej nam, w polityce, chodzi o Polskę, niż nawet o najbardziej palące i usprawiedliwione nasze własne, czysto emigracyjne interesy.

A więc sprowadźmy rzecz na grunt rzeczywistości: opowiadanie, że się przyjmuje obce obywatelstwo dla lepszego służenia sprawie polskiej, to jest tylko frazes dla uśpienia swojego sumienia. (Oczywiście, mówię tu tylko o konkretnej sytuacji nas na emigracji. W innych warunkach może być inaczej. Polak, przyjmujący obywatelstwo sowieckie we Lwowie czy Wilnie, albo zatrzymujący czechosłowackie w Czeskim Cieszynie może istotnie powodować się heroicznym pragnieniem trwania na posterunku.)

Obce obywatelstwo przyjmowane jest nie z pobudek ideowych, ale dla interesu, lub wskutek ugięcia się przed trudnościami.

Nie można bez obcego obywatelstwa dostać posady. Nie można posyłać dziecka do szkoły, czy też otrzymać dla niego stypendium. Nie można otrzymać przydziału mieszkania. Ba! Nie można otrzymać przedłużenia prawa pobytu. Nie można także losu swego poprawić, dostać posady lepszej, płacy lepszej, wykształcenia dla swoich dzieci lepszego. Wszystkie te rzeczy wyglądają w każdym kraju inaczej, nieraz nawet w każdym mieście inaczej. Ale nikt nie zaprzeczy, że rzeczy te istnieją, że w większym, lub mniejszym stopniu — jako obawa, nacisk, lub pokusa — wywierają wpływ.

A jednak, to nie znaczy, że ludzie, którzy pokusie ulegli, lub pod naciskiem się ugięli, są dla polskości straceni. Wszyscy wiemy — przecież tylu takich ludzi znamy! — że ludzie ci kochają Polskę i nadal są jej w sercu wierni. Nie są to żadni „Volksdeutscne": są to Polacy, którzy — zerwawszy z polskim państwem — stoją mocno przy polskości jako narodowości. I którzy marzą o tym, by z czasem do Polski powrócić, a więc by także i węzeł związku z państwem polskim odnowić.

Z tego, co wyżej napisałem, wyciągnąć należy dwa wnioski.

Po pierwsze, że polskiemu politykowi, publicyście, działaczowi społecznemu, czynnemu patriocie przyjmować obcego obywatelstwa nie wypada, a nawet wręcz się nie godzi. Przyjmując je byłby on w sprzeczności z tym, co sam głosi i robi.

Po wtóre, że wobec człowieka, który nie jest działaczem, pobłażliwość musi być większa.

Wyrasta nam we wszystkich krajach osiedlenia zjawisko polskiej masy ludnościowej o obcej przynależności państwowej. Z masy tej dla narodu naszego ani myślimy rezygnować. A więc nie możemy jej ani odtrącać, ani zrażać.

Masa ta należy do nas, do polskiej emigracji. Należy do nas pod względem narodowym, choć przestała należec pod względem państwowym. W życiu emigracji nie zważamy na przedziały paszportowe. Jesteśmy — jedni. Jesteśmy jednym społeczeństwem i jednym **narodem**.

POLONUS

NOTATKI REDAKCYJNE

W sprawie recenzji z przedstawienia grupy „Pro Arte"

W numerze 16 „ŻYCIA" ukazała się recenzja z przedstawienia teatralnego urządzonego przez artystyczną grupę „Pro Arte". Wystawiono przeróbkę sceniczną powieści Conrada „Freja z Siedmiu Wysp", oraz jednoaktówkę tego samego pisarza „Jutro". Recenzja w „ŻYCIU" J(ana) B(ielatowicza), kierownika literackiego naszego pisma, bardzo ujemnie oceniła zarówno samo przedstawienie, jak i sceniczną przeróbkę „Frei". Autor recenzji niedwuznacznie dał wyraz przekonaniu, iż rezultat przedstawienia był zbyt daleki od ambitnych zamierzeń, które powinny układać się w powolniejszej progresji i liczyć bardziej z możliwościami.

Po ukazaniu się recenzji, redakcja „ŻYCIA" otrzymała trzy listy, protestujące przeciw ocenie przedstawienia grupy „Pro Arte", nazywając zamieszczoną recenzję oceną niesprawiedliwą. Zgodnie z zasadą, jaką przyjęło nasze pismo, pierwszą myślą było zamieszczenie nadesłanych listów, aby dać możność wypowiedzenia się tym, których wysiłek został skrytykowany.

Możność obrony człowieka skrytykowanego w piśmie uważamy za podstawowe założenie dobrych obyczajów prasowych. Pod jednym wszakże warunkiem, że obrona obracać się będzie w obrębie argumentów, a nie inwektyw. Wszystkie zaś nadesłane listy były tych inwektyw tak pełne, iż uniemożliwiło to nam ich umieszczenie. Jeden z naszych korespondentów zaczyna list w taki sposób: „Czytając w „ŻYCIU" recenzję niejakiego p. J. B...." Otóż dla redakcji „ŻYCIA" p. J. B. nie jest „niejakim", ale jest bardzo kimś, ponieważ inaczej nie oddawalibyśmy mu do kierowania odpowiedzialnych działów w naszych wydawnictwach. Kto chce mieć możność polemizowania z naszym kolegą na łamach naszych musi ten wzgląd uszanować.

Przypomina mi się zdarzenie sprzed kilku lat. Żył jeszcze w Polsce wówczas Wacław Borowy. Borowy wydał był właśnie tom szkiców, który został niesłychanie ostro, tendencyjnie i napastliwie skrytykowany przez recenzenta komunistycznego „Odrodzenia". Nie oszczędzono Borowemu żadnego chyba zarzutu i odsądzono od wszelkich zalet, dodając na dobitek motywy denuncjacyjne. W kilka tygodni później pojawiła się na łamach tego samego „Odrodzenia" odpowiedź Borowego. Spokojnie, poważnie i z szacunkiem nawet dla swego marksistowskiego adwersarza, a nieuka w sprawach literackich, Borowy punkt po punkcie naświetlił poszczególne twierdzenia i złośliwości swego krytyka. Od połowy artykułu czytelnik, bez względu jakich był przekonań, wiedział z niezachwianą pewnością, iż niefortunny krytyk „Odrodzenia" nie tylko nie miał racji, ale i nadużył swego pióra. I dokonał tego Borowy w warunkach chyba najbardziej niesprzyjających polemice, w warunkach nieporozumienia artysty z politrukiem. Jeśli tak można przeprowadzać w warunkach niesprzyjających, o ile łatwiejsza jest polemika w warunkach normalnych z pisarzem o poczuciu odpowiedzialności również za społeczny sens twórczości artystycznej.

Sądzę, iż kluczową rzeczą w całej sprawie przedstawienia „Pro Arte" jest to, iż członkowie tej grupy nie pamiętają o tej oczywistości, że każdy, kto się decyduje na występ publiczny, musi się liczyć z krytyką, łagodną albo ostrą, sprawiedliwą czy nawet niesprawiedliwą. Okoliczności społeczne imprezy mogą pomóc w złagodzeniu oceny, lub mogą nie pomóc, jeżeli krytyk uznaje, do czego ma najpełniejsze prawo, że nawet fakt przebywania na emigracji nie uprawnia do obniżania kryteriów oceny artystycznej.

Z prawdziwym żalem nie mogę umieścić otrzymanych listów, zbyt wiele jest w nich inwektyw, zbyt mało argumentów. Okazja wszakże nie jest stracona. Pismo nasze jak najchętniej umieści nowy list, który bardziej będzie napisany metodą Borowego, mniej zaś metodą poirytowanej połajanki. Jest dobra okazja, aby w takim liście ukazany był zakres i rodzaj pracy grupy „Pro Arte", o czym się stosunkowo mało wie, oraz uzasadniona została konieczność początkowego ograniczenia się do niższego poziomu osiągnięć po to, aby po pewnym czasie dojść do poziomów jak najwyższych.

Józef Kisielewski

Zwracamy uwagę Czytelników na załączoną do tego numeru ŻYCIA ulotkę i prosimy o dalsze jej rozpowszechnienie.

WYSTAWA PLASTYKI

W Muzeum Wiktorii i Alberta, w okresie od 1 kwietnia do 31 maja, trwa wystawa „French Theatre Art, 1935 - 1955". Zawiera ona projekty dekoracyj teatralnych, strojów aktorów, maski teatralne, afisze a także fotografie aktorów.

Projekty dekoracyj teatralnych tak w modelach jak i rysunku uderzają bogactwem pomysłowości i dobrego smaku. Formy przedmiotów tworzących dekoracje sceny, jak najbardziej uproszczone i zrytmizowane, wprowadzają w jednym rzucie oka w rzeczywistość, którą dana sztuka reprezentuje. Są przepojone ponadto duchem poezji będąc tworem najwybitniejszych dekoratorów teatralnych Francji.

Felix Labisse jest bogato na wystawie reprezentowany, jego projekty zbudowane są albo na idealnej symetrii lub na lekkiej asymetrii. Operują one dużą ilością linii pionowych lub jak np. w dekoracji „Kuluary Pałacu Sprawiedliwości" szeregiem łuków idących w głąb, o wymowie fatum zawisłego nad bohaterami dramatu.

Labisse bliski jest rzeczywistości, ale ją nieco syntetyzuje. Pokrewny mu duchowo jest R. Allio, który np. w dekoracjach do „Kupca Weneckiego" oddaje dosyć realistycznie domy Wenecji, ustawiając je pod pewnym kątem do widza, dla zwiększenia wrażenia głębi.

Wspaniałą syntezę okrętu daje w dekoracji do „Odkrycie Nowego Świata" Lope de Vegi, posługując się jedynie trzema elementami: masztem i dwoma fragmentami balustrady statku.

Duży związek z dekoracją teatralną XIX wieku mają projekty Bernarda Daydé jak np. w „Fantazji" oraz Cazou.

Jedną z najlepszych jest dekoracja Maxa Ingranda do „Krzysztofa Kolumba", w której nad syntetycznie podanym wnętrzem okrętu z dużym słupem pośrodku znajduje się płótno żagiowe wygięte jakby pod tchnieniem wiatru. Znakomity F. Leger dał kilka rysunków o bezsprzecznej piękności (proste linie schodów i okrągłe obłoków). Widzimy też projekty Picassa: są to najsłabsze pomysły dekoracyjne z całej wystawy.

Niczego ciekawego nie wnoszą maski François Ganeau do baletu, ani marionetki Y. Joly'ego. Piękne zaś są kostiumy na „Śmierć Dantona" rysowane przez L. Gischia, instruktywne stroje André Deraine i kostiumy dla Mizantropa J. Noel'a.

Wszystkie projekty cechuje odwaga odkrywcza, wielka oryginalność i smak. Reprezentują one godnie współczesny teatr francuski, który ma samoistny styl dekoracyj teatralnych zupełnie innych niż angielskie czy amerykańskie.

ROZMAITOŚCI

Przyczyny suszy na ziemiach polskich

Prof. A. Wodziczko ogłosił w wyniku długoletnich badań przyczyny pogłębiających się okresów suszy na ziemiach polskich.

Na obszarze Wielkopolski zaobserwowano szybkie stepowienie fauny i flory polskiej czyli zanikanie roślin i zwierząt bardziej wrażliwych na brak dostatecznej wilgoci i jednoczesne pojawienie się elementów stepowych.

Powodem stepowienia są zmiany w obiegu wody w środowisku przyrodniczo-geograficznym.

Narody Zjednoczone nawadniają Synaj

52 tysiące akrów Półwyspu Synaj uzyska nawodnienie z funduszów Narodów Zjednoczonych, jak dowiadujemy się z „United Nations Review", marzec 1955. Ta ogromna praca ma być przedsięwzięta celem stworzenia znośnych warunków istnienia dla 12.000 rodzin arabskich wygnanych z Palestyny w wyniku wojny arabsko-żydowskiej.

Na pomoc dla uchodźców arabskich Narody Zjednoczone posiadają 200 milionowy fundusz, z którego czerpią na zasiłki dla 900 tysięcy uchodźców. Z tej to sumy zaczerpnięta będzie dosyć spora ilość pieniędzy, bo 30 milionów funtów, na wyżej wymienioną inwestycję.

Woda, konieczna do nawodnienia będzie dostarczana z kanału Ismailia, który w tym celu będzie przebudowany i powiększony, co pociągnie za sobą również przebudowę kilku mostów itp.

W Kairze już od roku zebrała się komisja pod kierownictwem Rex Reeda. — specjalisty od spraw wodnych z USA, z udziałem dr. R. Smitha z Australii — specjalisty od zagadnień agrarnych obszarów pustynnych oraz G. Targasta — ekonomisty holenderskiego, zajmującego się zagadnieniami agrarnymi. Opracowują oni szczegóły prac, które niedługo mają być realizowane.

Druga wielka robota jest projektowana w dolinie Jordanu (dorzecze rzeki Yarmuk). Będzie to też teren sztucznie nawodniony, co ma dać możność życia 20.000 uchodźców arabskich.

Pani ZYGMUNTOWA CYTHURUS zechce łaskawie podać swój adres do Redakcji ŻYCIA.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) w krajach bloku sterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — „Libreria Polaca", Serrano 2076. Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: „Vistula" (Australia) Pty, 77. Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide. S. A. BELGIA: Przedstawiciel — E. Kulakowska, 101. Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz Rev. W. Słapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — B. Galas, Pagelstraat 15A. Breda. KANADA: Przedstawiciele — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto 1 „Badegast", 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: S. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, oraz „Informacja Prasowa", Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications", 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz M. Kijowski, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz J. Stojanowska, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz „Pomoc" — Eksport Import, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA: Przedstawiciel: Mgr B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme Z. Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734.

PRZECZYTAJ — DAJ DRUGIEMU

KSIĄŻKA PRYMASA

POLSKI



WIĘŹNIA BEZPIEKI

Od dwóch blisko lat Prymas Polski, Ks. Kardynał Arcybiskup Stefan Wyszyński, znajduje się — ciężko chory — w kaźniach Bezpieki.
Nie przestaniemy PROTESTOWAĆ przeciwko tej zbrodni komunizmu.
Lecz obok słów protestu —
ZDOBĄDŹMY SIĘ NA WIELKI WSPÓLNY CZYN ZBIOROWY EMIGRACJI.
Za dwa miesiące ukaże się książka uwięzionego Prymasa Polski, p. t.

„DUCH PRACY LUDZKIEJ"

SĄDZIŁ KOMUNIZM, ŻE PRZEMOC WIĘZIENIA KOŃCZY SPRAWĘ

LECZ SŁOWA PRYMASA IDĄ W ŚWIAT

IM DŁUŻEJ ON W WIĘZIENIU, TYM DOKŁADNIEJ ZNAJMY JEGO POLECENIA

ODWRÓCIĆ

„Duch Pracy Ludzkiej" to nie tylko jeszcze jedna książka, —

TO ODPOWIEDŹ KATOLICKA NA TWIERDZENIA KOMUNIZMU

TO WSKAZANIA DLA CZŁOWIEKA, JAK WYJŚĆ Z CHAOSU

Książka Prymasa Polski, napisana przed kilku laty, gdy Kardynał Wyszyński był profesorem socjologii katolickiej w Lublinie, zajmuje się sprawami społecznymi i ich zagadnieniem centralnym — sensem pracy ludzkiej. Książka daje prawdziwe odpowiedzi na kłamliwe twierdzenia komunizmu w sprawach świata pracy.

KSIĄŻKA ZAWIERA NASTĘPUJĄCE ROZDZIAŁY:

Zagadnienie pracy dziś. — Obraz pracy Boga. — Praca potrzebą natury ludzkiej. — Praca obowiązkiem społecznym. — Użycie owoców pracy. — Praca ludzka — współpracą z Bogiem. — Praca — miłością ku Stwórcy świata. — Módl się pracą! — Nadprzyrodzona organizacja pracy. — „W pocie oblicza". — Tajemnica Odkupienia w pracy. — Życie wewnętrzne a nadmiar pracy codziennej. — Znaczenie wartości nabytych w pracy wewnętrznej dla życia społecznego. — Cierpliwość w pracy. — Cnota nieskwapliwości w pracy ludzkiej. — Wytrwałość i stałość w pracy. — Sumienność i pilność w pracy. — Cichość w pracy. — Współpraca. — Czas pracy i odpoczynek. — Odpoczynek świąteczny w pracy. — Radość pracy.

Około 200 stron druku. — Płócienna oprawa. — Dwubarwna obwoluta z herbem Prymasa Polski.

Nabądź książkę i CZYTAJ JĄ, SOBIE I DRUGIM.

PRZYŁĄCZ SIĘ DO CZYNNEGO PROTESTU

PRZECIW DŁAWIENIU GŁOSU PRYMASA

W ciągu maja nadeślij zgłoszenie do BIBLIOTEKI POLSKIEJ.
Cena w subskrypcji tylko 9 szyl., 1.50 dol. Po subskrypcji w księgarniach: 15 szyl., 2.50 dol.
Dla terenów zamorskich termin subskrypcji wyjątkowo do końca czerwca.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2. (ENGLAND)

ZAMÓWIENIE KSIĄŻKI

Do
Biblioteki Polskiej
Veritas Foundation
12, Praed Mews,
London, W. 2. (England)

Zamawiam po cenie tańszej, czyli w subskrypcji ...... egz. książki Prymasa Polski DUCH PRACY LUDZKIEJ w cenie (z opak. i przes.) 9 szyl., lub 1.50 dol., lub odpowiednik w innych walutach, za egzemplarz.

Należność załączam, lub wpłacam do przedstawiciela „Veritasu" — (niepotrzebne skreślić).

Nazwisko: ....

Dokł. adres: ....

....

....

(Wyciąć i przysłać w kopercie.)

INNE KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ" W SUBSKRYPCJI:

Do 30 czerwca: prof. M. Korowicza **„W Polsce pod sowieckim jarzmem"**. Do 31 lipca: W. Cygana **„Granatowa załoga"** (powieść). Do 31 sierpnia: J. Kossowskiego **„Ta krew nie plami"** (powieść). Do 30 września: S. Vincenza **„Na wysokiej połoninie"** (opowieść). **Żądaj** informacji co do dalszych tomów.

CENA TOMU „B. P." W SUBSKRYPCJI w różnych walutach:

9 szyl. angielskich; 1.50 dol. St. Zj.; 495 fr. franc.; 6 marek niem.; 63 fr. belg.; 4.90 guld. holend.; 5.60 fr. szwajc.; 7.30 kor. szwedz.; 10 kor. norwes.; 900 lirów włos. We wszystkich innych krajach równowartość 1.50 dol. w walucie miejscowej.

ZGŁOSZENIE NA STAŁEGO ABONENTA „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"

Zgłaszam się na stałego Abonenta „Biblioteki Polskiej", poczynając od miesiąca .... 1955 r.

Należność przesyłać będę, rocznie, półrocznie, kwartalnie, miesięcznie — (niepotrzebne skreślić).

Proszę mi przysłać legitymację członka „Biblioteki Polskiej".

Nazwisko: ....

Dokł. adres: ....

....

....

....

W subskrypcji książki są niemal o połowę tańsze!

....

(Wyciąć i przysłać w kopercie.)

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.